Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
cIV 9013

Cena 20 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa 5 października 1947 r. | Nr 40 (97)

TREŚĆ NUMERU: Stan. N. Rostworowski — Sprawa „Bezetów", P. Grzegorczyk — Krytyka pewnej powieści, Jerzy A. Górski Teoria praktyki marksistowskiej, Tydzień Kulturalny, St. Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej, K. — Pozycje kluczowe, Czytelnik uważa że...

Juliusz Nowak-Dłużewski

Prusowska koncepcja psychiki polskiej a rzeczywistość

W artykule o „Odświętnych katolikach" (Nr 24 (81) „Dziś i Jutro") pisałem o relatywistach etycznych, rekrutujących się ze społeczeństwa polskiego. Nie wynika z tego, by ich nie było gdzie indziej. Wybrałem przykłady najbliższe, gdyż na nich najłatwiej jest studiować patologiczne zwyrodnienia norm postępowania ludzkiego. Zwyrodnienie owo polega na tym, że można uznawać absolutny walor zasady etycznej, ale też przyznawać jej jednocześnie względne znaczenie praktyczne, owszem, uznać ją nawet za zobowiązanie szkodliwe w życiu codziennym. Zależy to oczywiście od potrzeb praktycznych tzw. życia ułatwionego.

Studia, o których mowa, nie są specjalnie trudne w społeczeństwie katolickim dla tej prostej przyczyny, że rygory etyki katolickiej są nadzwyczaj precyzyjne i jednoznaczne, a więc i odchylenia od niej łatwo uchwytne.

Ludzie o podwójnej buchalterii moralnej zaludniają masowo dzisiejsze skupiska sepcjalnie miejskie, nie tylko zresztą polskie: bezideowy tłum, niezwiązany wewnętrznie obligacjami moralnymi, bez poczucia zewnętrznej więzi społecznej.

Rzetelny katolik (w sensie stosowania praktyki życiowej stricte do obligatoryjnych zasad etyki katolickiej) określił ich prostą formułą: żyją bez wiary. I będzie miał racje, bo jest to formuła słuszna. Ale też jest za ogólnikowa, bo nie wyczerpuje zjawiska społecznego w jego złożoności.

Bezkompromisowe wyrachowania życiowe, zimna kalkulacja bez oglądania się na nic i na nikogo poza samym sobą i własnym doraźnym zyskiem materialnym czy moralnym, w które się uzbraja ten nasz „katolik" i którymi wojuje na całej przestrzeni swego życia, biorą początek w jego sferze tak zw. „praktycznego rozsądku". Całej jego taktyki życiowej (wszystko jedno, czy uzębionego wilkołaka, czy drobnego okonia) szukać należy w zubożeniu sfery jego życia uczuciowego. Etykę na codzień dyktuje mu heterogeniczny, racjonalny komponent jego osobowości; człowiek bez kultury uczuciowej wyznaje katechizm, umie go nawet wybornie na pamięć, ale nie jest zdolny przeżywać go. Jest to w jego sytucji niepodobieństwem wprost naturalnym, w sposób nie jako matematyczny uwarunkowanym. Prosta stąd konsekwencja, że nie jest zdolny żyć jako chrześcijanin, jako katolik. Żyje jako poganin.

Psychika takiego Polaka-katolika jest zracjonalizowana w sposób specyficzny. Spróbuję go nazwać filisterskim. Nie jest to common sense Anglika. Nie znam bliżej Czechów, ale nie jest to chyba codzienny praktyczny rozum tego narodu, który dziś zaczyna wchodzić u nas w modę (przynajmniej w prasie, na papierze). Nie jest również tzw. zdrowym rozsądkiem polskiego chłopa (mowa w tym rozstrząsaniu przecie o naszej inteligencji). Gdybyśmy chcieli znaleźć jaki odpowiednik, znaleźlibyśmy go może w psychice francuskiego dorobkiewicza, owego przysłowiowego rentiera, który się wywodzi z miast i miasteczek francuskich, czasem z farmy wiejskiej, żyjącej w kręgu oddziaływań kultury wielkomiejskiej. Ale i to chyba niezupełnie.

Jest to psychika bardzo ruchliwego, ale bardzo w gruncie rzeczy drobnego konkwistadora życiowego na bardzo krótką metę: może nim być zarówno sklepikarz handlujący pieprzem, lekarz, nawet słynny i wzięty, bardzo często adwokat, jak również nauczyciel szkoły wyższej — stanowisko życiowe nie gra tu żadnej roli. Określmy tę psychikę słowem - symbolem: spryt.

Wyraz ten jest bardzo niedawną pożyczką z języka francuskiego. Doznał on u nas niebywałej degradacji w swym znaczeniu, w swej wartości uczuciowej, jak się to językoznawcy fachowo wyrażają. Zaglądam do Lindego, który nie jest starszy ponad sto czterdzieści lat i znajduję: „spryt — żywość umysłu, która każdą rzecz szybko chwyta, odcień dowcipu".

Jako były Niemiec, „wmieszkany Polak", wyjaśnia nam Linde znaczenie tego wyrazu za pomocą równorzędnych niemieckich: Witzigkeit, geistreiches Wesen. Sprytny znaczy więc u tego leksykografa po prostu dowcipny Niedaleko stąd do znaczenia wyrazu macierzystego, francuskiego „esprit", bo wiadomo z estetyki, że najwyższym objawem intelektualnym komizmu jest właśnie dowcip.

Ale jakże już daleko do dzisiejszego sprytu! Nie tylko księgi, ale i wyrazy mają swe fata, tym razem socjologicznie instruktywne w tej niesłychanej detronizacji pierwotnej dostojności wyrazu na poziom niemal rynsztokowy i to w przeciągu lat stu z okładem

Czy ta zmiana znaczeniowa nie jest czasem wyznacznikiem pewnych głębszych zmian w psychice narodu, który się tym wyrazem posługuje?

Spryt, symbol słowny i odpowiadająca mu dyspozycja duchowa, zachował swe nazwisko a z nazwiskiem i krew swego francuskiego przodka z epoki racjonalizmu; jest dzieckiem rozumu. Ale wiemy wszyscy dzisiaj doskonale, jakie jest jego obecne znaczenie i co pod nim należy rozumieć. Toteż nawet spryciarz zawodowy, wyprze go się, bo go się wstydzi, choć się w każdej godzinie swego życia gotów nim posługiwać i jego narzędziem działania — kantem. W imię sprytu wszystko wolno. Bo spryciarz musi zawsze wygrywać największą swą stawkę życiową. Spryt jest przeciwny dyspozycji rozumowej, którą się katolicyzm zaleca kierować codziennie — roztropności. Ta jest latarnią człowieka, który szuka prostej drogi w ciemnościach pielgrzymki życia. Spryt jest ślepą latarką w rękach myszkującego po krętych ścieżynach rzeczywistości. Latarnia rzuca stałe i równe światło wokół, a korzystają z niego ludzie inni, źródła światła pozbawieni; ostre, wąskie (intelekt! dowcip!) a niespokojnie biegające pasemko światła ślepej latarki kieruje krokami jednego człowieka i tajemnicą jemu tylko znanej peregrynacji.

Przyglądając się w ten sposób z bliska całemu problemowi, zaczynamy trochę podejrzliwie kwalifikować uogólnienia Prusa, który w swoich kronikach tygodniowych, (gdzie znaleźć podobne, o tej skali, rozmachu i głębi w prasie dzisiejszej) biadał nad brakiem równowagi w strukturze polskiej duszy zbiorowej. Pogwałcenie tej równowagi ze smutnymi dla nas skutkami natury polityczno-społecznej widział w miażdżącej przewadze w niej czynników uczucia i woli nad czynnikiem rozumu.

Tego jakoś dzisiaj nie widać. Doświadczenie płynące z obserwacji życia, każe wyciągnąć wnioski raczej odwrotne: że nie jest tak „źle", jak Prus przypuszczał, że, owszem, regulatorem życia masy naszego społeczeństwa nie jest wcale emotio, ale ratio. Oczywiście nie ta ratio w dostojnych swych objawach, a cała jej pokraczna progenitura, bastardowe potomstwo z pierworodnym synkiem sprytem.

Dzieje się tak, jakby ktoś banknot tysiącdolarowy (czy istnieje taki?) wymienił na centy i wielką ich ilością obdzielił rzesze, każąc obdarowanym żyć z jego centa, dobrodziejstw, pożal się, Boże, przez całe życie.

Uzupełniając Prusa, należy powiedzieć, że w grze europejskich społeczeństw przegrywaliśmy nie dlatego, żeby nam brakowało rozumu narodowego, ale i dlatego jeszcze, że z kulturą uczucia nie było wcale tak dobrze.

Kliniczne okazy takiego regulatora życiowego u nas, o jakim mowa w artykule niniejszym, znalazłby Prus nawet w literaturze naszej, na której chwałę trzeba powiedzieć, że stara się dotrzymać kroku życiu. Jego zimną trupią obecność odczuł przecie już Mickiewicz i linczuje go w wymownych strofach, skierowanych przeciw samolubom. Łatwo z jego romantycznej frazeologii wyłuskać dzisiejsze oblicze „płaza w skorupie". Z odległości wiekowej podziwiać należy przenikliwą intuicję młodego poety, który z taką precyzją utrwalił patologię zaczynającego się wtedy (u schyłku racjonalizmu) rozkładu moralnego starego świata chrześcijańskiego, a więc i katolickiego.

Wspaniała modlitwa, napisana prawdopodobnie przez księdza-poetę Tadeusza Jachimowskiego, zamordowanego w Powstaniu, a zamieszczona w modlitewniku „W Służbie Chrystusa i Ojczyzny", wydanym przez Szefostwo Duszpasterskie W. P. dla żołnierzy.

Modlitwa przed bitwą

Do Ciebie uciekam się, o mój Boże, w tej chwili może, ostatniej w mojej ziemskiej wędrówce. Idę do boju w obronie Wiary św. i Ojczyzny. Pragnę jak najlepiej spełnić swój obowiązek. Daj mi, o Boże, siłę potrzebną, hart woli i męstwo, abym wykonał rozkazy swych dowódców i nie splamił honoru żołnierza polskiego.

Jeżeli mi paść przyjdzie na polu bitwy, wierzę, że przyjmiesz mnie do chwały swojej, bo Twoim żołnierzem zawsze być pragnąłem, bo w obronie gniazd rodzinnych, w obronie ziemi, której ukochanie w duszę wszczepiłeś, walczę.

A jeżeli zwycięsko z bitwy wyjść mi pozwolisz, to nie swojej chwały szukał będę „Nie mnie, ale Imieniowi Twojemu niech będzie chwała na wieki".

Boga Rodzico-Dziewico, strzeż szeregów Twego żołnierstwa.

Aniele Stróżu mój, nie opuszczaj mnie. Amen.

DM 1591052

W kraju...

MINISTER SILKIN W WARSZAWIE

W dniu 24 b.m. przybył do Warszawy na zaproszenie Min. Kaczorowskiego brytyjski Minister Odbudowy Silkin. W drugim dniu swego pobytu Min. Silkin zwiedzał ruiny Warszawy. Brytyjczykowi wyraźnie zaimponowały dotychczasowe osiągnięcia w odbudowie Stolicy. Powiedział, że „jako fachowiec w tej dziedzinie" zdaje sobie dobrze sprawę jakiego wysiłku są one wynikiem. „Wasza praca może być przykładem i natchnieniem dla innych narodów" — oświadczył Min. Silkin dziennikarzom, dzieląc się swymi obserwacjami po zwiedzeniu miasta.

Podobne słowa słyszeliśmy już raz z ust zmarłego Prezydenta Roosevelta kiedy mówił o walce prowadzonej przez Polaków z niemieckim najeźdźcą. Jak się później okazało zmarłego prezydenta stać było w stosunku do nas tylko na patetyczne zwroty. Tym razem z większym zaufaniem słuchamy pochwał anglosaskich. Wiemy bowiem, że walor pracy i osiągnięć natury gospodarczej jest na rynkach świata znacznie wyżej notowany, niż krew przelana szczodrze lecz nie zawsze we własnym interesie.

KONGRESMANI AMERYKAŃSCY W POLSCE

Wizyta Kongresmanów trwała zaledwie półtora dnia. Jeśli we wszystkich stolicach Europy będą przebywali równie krótko, to rzeczywiście nie zdziwimy się skoro posłyszymy o rewelacyjnej, a przede wszystkim fantastycznej treści raportu, jaki złożą po powrocie do USA

Zawiadamiamy że

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Centrala w Poznaniu

posiada

Oddział w Warszawie

przy Al. Sikorskiego 26 (Jerozolimskie) między Marszałkowską a Bracką

Pełny asortyment książek treści religijnej oraz z innych dziedzin

JELEŃSKI

POD BŁĘKITAMI

POWIEŚĆ

Kto czytał recenzję książki tej w nr 36 „Dziś i Jutro", niechaj zechce sam ją przeczytać i osądzić, czy recenzent uchwycił istotną myśl książki, a to, co dostrzegł — czy słusznie ocenił?

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

Warto tu również przypomnieć dokładnie przestudiowany, na sposób balzakowski przedstawiony typ „spekulanta" w twórczości powieściowej i dramatycznej niesłusznie zapomnianego Józefa Korzeniowskiego, (spekulanta nie w znaczeniu potocznym, ale w typie psychicznym). Typ ten nie jest wzięty z powietrza, jak i późniejsze jego wcielenia, o subtelniejszej i więcej złożonej mechanice duchowej u Sienkiewicza. Przykłady z literatury można by mnożyć, z życia także. Ale to chyba nie jest potrzebne.

Racjonalne składniki zajmują w duszy potężnego Polaka znaczniejsze obszary, niż się to wydawało Prusowi. Daleko stąd do romantycznej koncepcji polskiej duszy zbiorowej.

Tradycyjne jakoby jej dominanty, irracjonalne jej czynniki dochodzą do głosu w naszym życiu, ale to sporadycznie, za sprawą ludzi wyjątkowych, obdarzonych nie tylko żarem uczucia, uczucia szlachetnego, ale i silną wolą, dzięki której potrafią pociągnąć za sobą liczne nawet niekiedy ugruntowania, zjednując je dla siebie, dla swej ugruntowanej rozumowej tezy politycznej czy społecznej. W nich, owszem, widać naocznie równowagę tych trzech komponentów, o jakiej marzył dla nas wielki myśliciel pozytywizmu. Z nich rodzą się wielkie zdarzenia i procesy historyczne. Ale na codzień, na długie dni i noce życia narodowego zamiast Zamoyskich, Żółkiewskich, Kościuszków, Ściegiennych mamy w historii Zborowskich, Łaszczów i Branickich z ich bardzo obfitym potomstwem w życiu codziennym, zamiast Wyganowskich czy Piotrów Olbromskich mamy „trzeźwo" myślących Jaroszów Kutasińskich, wyrachowanych Turonosów, jeżeli już nieghrpawych, kanciarskich Jarzyńskich. Tym musimy się legitymować i kontentować w przeszłości.

A więc czy czasem nie jest odwrotnie, niż to suponował Prus? Czy nasza „psychika zbiorowa" nie choruje akurat na przerost tego, czego brak dostrzegał Prus: na przerost swoistego „racjonalizmu", na niedorozwój komponentów irracjonalnych, właściwej oczywiście klasy i poziomu?

Przypomnijmy sobie tylko ostrą a ciągnącą się właściwie przez całe życie poety walkę Mickiewicza o prawo do życia „prawd żywych", przypomnijmy sobie wizje socjologiczne Krasińskiego, który również nie bez kozery wypowiedział tak konsekwentną wojnę przemożnej władzy racjonalizmu w życiu, który to racjonalizm uznał za pierwiastek sataniczny w jego wyłączności.

Czy, wracając do chwili obecnej, nie ma czasem racji Kisiel, który w jednym ze swych felietonów w „Tygodniku Powszechnym" stwierdza immanentność w dzisiejszym polskim życiu dwu biegunowo sobie przeciwnych typów duchowych: nielicznych „bohaterów" i „draniów", tych drugich w wielkiej w stosunku do pierwszych reprezentacji ilościowej. Brak jest w polu widzenia tego publicysty typu pośredniego: nie ma u nas miejsca na „rozsądne bohaterstwo" i „moralną trzeźwość".

W diagnozie tego publicysty znajduję potwierdzenie własnych dedukcji, zarysowanych na tym miejscu.

Nie brak nam objawów heroicznych duszy polskiej i dzisiaj. Znajdziemy je choćby w powstaniu warszawskim. Czytałem wzruszający list jego poległej uczestniczki, list - testament dla męża, pisany w chwili powzięcia mimo wszystko mocnej decyzji wejścia w szeregi powstańcze. W wielkiej duszy tej osoby doszła do harmonii dojrzała rozwaga, mocna wola i miłość sprawy, mocniejsza nade wszystkie mocne również przywiązania, a więc to, o co chodzi, do czego się tęskni i o co się woła.

Decyzja powstania wpłynęła z nieroztropności, a nawet, o ile mi wiadomo, z wyrachowania i ambitnego sprytu niektórych karierowiczów, ale przebieg wywołanych już wypadków odsłonił zgoła już inne dyspozycje duszy polskiej.

Tak było w historii. Gorzej jest w życiu codziennym, w którym przewodzi nadal spryt, gdzie heroizm musi mu ustępować miejsca, czasem nawet pod gwałtem presji fizycznej.

Aby się zaczęło dziać inaczej, należy przebudować człowieka dzisiejszego u nas. Nie jest to jednak rzecz łatwa: łatwiejsza, niestety, jest do sformułowania na piśmie, niż do wykonania w praktyce. A jednak musi być wykonana. Należy o tym pilnie myśleć, jeżeli nie mamy szczeznąć jako naród, jeżeli mamy utrzymać się na powierzchni życia.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Stanisław Nik Rostworowski

SPRAWA „BEZETÓW"

Termin zapożyczam z ich słownika. Niewtajemniczonym wyjaśniam, że „bezet" to skrót od „były ziemianin". Brzmi sympatyczniej niż „ex-obszarnik" i ma posmak wesołej beztroski. Czy słusznie?

Sprawa w pewnym sensie mocno nieaktualna. Tak przynajmniej uważają zwolennicy „rewolucji łagodnej" dla których problem ów przestał istnieć z chwilą ogłoszenia pamiętnego dekretu z dnia 6 września 1944 przez PKWN. Jeśli mimo to nadużywam pobłażliwości Redaktora i cierpliwości Czytelników to dlatego, że zdaniem mym, problem trwa i choć w nieco zmienionej postaci, jest nadal brzemienny w konsekwencje natury ogólnej.

Na początku mała dygresja, żeby uprzedzić ewentualne aluzje dotyczące pochodzenia autora artykułu. Nie, panie „Zez" z ulicy Smolnej. Może mi Pan wierzyć lub nie, ale nie piszę „pro domo mea". „Dom i „morgi" zostawiłem równo 8 lat temu. Miałem wówczas 14 lat iprzyznaję, w t e d y nie przychodziło mi to łatwo. W ciągu lat ośmiu zdążyłem się jednak odzwyczaić.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moje spostrzeżenia siłą rzeczy muszą być pozbawione tego stopnia obiektywizmu jaki osiągnąłby obserwator z intencjami podobnymi moim, nie związany absolutnie n i c z y m z tą klasą. Z drugiej strony, reprezentuję pewną sumę doświadczeń bezpośrednich, nie przyćmionych, na szczęście, b e z p o ś r e d n i m interesem.

I jeszcze jeden moment, — gratka dla każdego publicysty:— Temat ziemiański jest ciągle „tabu". Stan rzeczy, poniekąd wytłumaczalny w latach 44, 45, dziś kiedy od chwili ogłoszenia dekretu o reformie rolnej upłynęło lat trzy — mało uzasadniony.

A przecież likwidacja warstwy, stanowiącej do II Niepodległości, dominantę społeczną, a w okresie 1918 — 1944 również znaczącej, to nie jest takie sobie wydarzenie, które mija bez następstw. Rzecz jasna, ostrza tego zarzutu nie kieruję w stronę marksistów. Ich prasa p i s a ł a o „bezetach". Mniej więcej w ten sam sposób mówiło się o socjalistach w domu mojego dziadka.

Metod tej czy tamtej propagandy nie należy utożsamiać z istotnymi założeniami, leżącymi u podstaw każdej. Temperatura walki sprzyja wulgaryzacji epitetów, których się nie szczędzi przeciwnikowi. Obecnie jest już po bitwie. Trzeźwy obrachunek z przeszłością leży zarówno w interesie zwycięzców, jak i zwyciężonych.

Z marksistami można dyskutować. W poglądach głoszonych przez nich znajdziemy mnóstwo elementów zbieżnych z naszym stanowiskiem. Dla uproszczenia dalszego wywodu, posłużę się pewnym teoretycznym schematem, który mi ułatwi konfrontację pozycyj marksistowskich z ziemiańskim pobojowiskiem. Załóżmy, że rozmawiamy o t a k i c h „bezetach", którzy są patriotami. W tym miejscu proszę o pomoc p. Pawła Hertza z „Kuźnicy", aby jako krewny Lambertów poświadczył, że obszarnicy-patrioci „zdarzają się".

Więc niekoniecznie reakcjonista stojący na straży pańszczyźnianej niedoli chłopa.

W latach okupacji warstwa ziemiańska przetrwała w formie zresztą już szczątkowej, jedynie na wąskim terytorium b. G. G. Przyznajmy, że zachowanie większości ziemian w okresie terroru niemieckiego b y ł o g o d n e. W majątkach, które nie stały się „liegenschaftami", wysiedleńcy z zachodnich terenów Rzeczypospolitej znaleźli przytułek i opiekę. To właśnie „ziemiańscy antysemici" udzielali schronienia Żydom a arystokracja także trafiała do kacetów. Wkład ziemian w konspirację, proporcjonalnie rzecz biorąc, był ani mniejszy ani większy od wkładu reszty obywateli.

Swego czasu „Kuźnica" próbowała **epatować** opinię nazwiskami pięciu arystokratów-kollaborantów. Okazało się, że chodzi o indywidua już przed wojną całkowicie zniemczałe lub znane z niepoczytalnych ekscesów (casus Michał Radziwiłł).

Nie zamierzam bronić minionego porządku społecznego.

Ale nie wynika z tego bynajmniej, że wszyscy którzy w nim tkwili zasługują na moralną eksterminację.

Czy reforma rolna była koniecznością ekonomiczną i społeczną? — Ogromna większość polskiej opinii odpowie twierdząco.

Przed wojną sąd ogółu o ziemiaństwie **nie był** dlań specjalnie przychylny. Tak się już jakoś składa, że zjawiska socjalne w Polsce nie zawsze przebiegały w myśl reguł ustalonych przez materialistów dialektycznych. Ustawiczny stan zagrożenia kraju, sprzyjał wytworzeniu zupełnie odrębnego typu psychiki narodowej, skłonnej żywiej reagować na bodźce natury patriotycznej, aniżeli na pobudki płynące z widoku bezpośredniej korzyści materialnej. Ceniąc w marksizmie częstokroć owocną metodę poznawczą będę się upierał, że jeśli nawet patriotyzm potraktujemy jako pewną formę nadbudowy psychicznej to jest ona bardziej sublimowana niż egoizm klasowy, a dla Polaków typowsza. Stąd niepodległościowe tradycje naszego socjalizmu i niechęć do ziemiaństwa w okresie międzywojennym, zasadzająca się nieomal wyłącznie na motywach psychologicznych. Dystans między wsią a dworem i między dworem a miastem w minimalnym tylko stopniu był uwarunkowany różnicą majątkową. W 90 wypadkach na 100 trwał siłą inercji jako spadek przeszłości i funkcja ekskluzywnej postawy ziemian z jednej strony oraz snobistycznych urazów strony drugiej. Dlatego najbardziej „podkolorowany" społecznik w mieście, zwierzał się z satysfakcją o „wujku, który stracił włości na Ukrainie". Nie przeczę, że to objaw szlachetczyzny najczystszej wody, twierdzę tylko, że ziemiaństwo nie było jedynym jej nosicielem. A „arystokratyzm chłopski"? — Do dziś

»ALBERTINUM«

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Warszawa — Poznań — Lublin

wydała i poleca

X. KOZUBSKIEGO-Prof. Uniw. Warsz.

PODSTAWY ETYKI PŁCIOWEJ

cena zł 300,—

oraz wznowienia:

KOSSAK-SZCZUCKA Z. — SZALEŃCY BOŻY

z 8 drzeworytami E. Kuczyńskiego

cena zł 480,—

NEUBERT O. E. — MÓJ IDEAŁ JEZUS SYN MARII

cena zł 180,—

X. ŻYCHLINSKI A. — W UMIEJĘTNOŚĆ ŚWIĘTYCH WTAJEMNICZENIE

cena zł 120,—

dnia małżeństwo pięciomorgowego gospodarza z córką komornicy jest uważane za gorszący mezalians.

Siła ziemiaństwa przed wojną to także jeden z mitów. Wyniszczone ekonomicznie przez pierwszą światówkę i kryzys z lat trzydziestych z trudem stawało na nogi. Wewnętrznie rozproszkowane i skłócone (zadawniona niechęć do arystokracji) tworzyło niekiedy tzw. Związki Ziemian, dając w ten sposób przede wszystkim folgę swym snobistycznym upodobaniom. Flirty z sanacją? — Widmo ministra Poniatowskiego jeszcze teraz zakłóca sen memu ojcu, który na ogół sypia mocno..

Oczywiście był Nieśwież, a reformy rolnej nie zdążono przeprowadzić, bo wojna stanęła na przeszkodzie. „Bezeci" obdarzeni szczyptą humoru, a takich jest dużo, wypinają dumnie pierś, ukradkiem śmiejąc się w kułak skoro słyszą, że to właśnie oni „storpedowali" reformę.

Kisiel użala się często nad brakiem wyobraźni, cechującym marksistów. Jak wiele mam słuszności dowiodły lata 44 i 45, które pasowały „bezetów" na narodowych męczenników. Ani przed, ani w czasie wojny nie cieszyli się taką popularnością jak w tym okresie. Rozumiem motywy ludzi Obozu Reform, które skłoniły ich do całkowitego wywłaszczenia nawet tych obszarników, jacy posiadali choćby jeden hektar więcej ponad ustaloną normę 50 lub 100 ha. Bo reforma była n i e t y l k o koniecznością gospodarczą. Należało pozbawić jakiejkolwiek bazy ekonomicznej tych, których wpływ na dzieje Rzeczypospolitej uznano zazgubny. Szczerze pisał o tym u zarania III Niepodległości p. Roman Werfel w „Odrodzeniu".

Ale w tej chwili nie pora utyskiwać nad **faktem nieodwracalnym w żadnym wypadku.** Dziś na palcach można liczyć „bezetów", którzy by się łudzili, że odzyskają ziemię raz podzieloną między chłopów. W jakiejkolwiek koniunkturze politycznej bowiem, nie znajdzie się rząd, który by się odważył ryzykować niebezpieczną ewentualność pozbawienia chłopa ziemi. W związku z likwidacją całej klasy społecznej powstało zagadnienie dla socjologa niewątpliwie pasjonujące.

Proces wchłonięcia „bezetów" przez tzw. inteligencję pracującą powinien nastąpić stosunkowo szybko. Sądząc po znanych mi przykładach obserwowanych na ziemianach jacy uciekli przed Rewolucją Październikową „bezet" na gruncie miejskim **deklasuje się już w drugim pokoleniu.** Pisząc ten artykuł myślałem jednak o uwypukleniu dwu innych momentów, wiążących się ściśle z likwidacją warstwy obszarniczej a posiadających wydźwięk ogólny.

Pierwsza rzecz to sprawa s o l i d a r y z m u s p o ł e c z n e g o. Wbrew przewidywaniom wielu, opinia publiczna zdaje się nie potępiać „bezetów". Przykład lat 44, 45 przekonał mnie dostatecznie mocno, że Polskę stać tylko na „łagodne rewolucje" i nigdy nie będzie inaczej.

Drugi aspekt sprawy „bezetów" wiąże się nierozdzielnie z problemem niesłychanie doniosłym dla Państwa i szerokich rzesz jego obywateli. Myślę o bezpartyjnych.

Oficjalne enuncjacje rządowe zdają się nie pozostawiać żadnych wątpliwości w tej kwestii. Zaledwie parę tygodni temu czytaliśmy miarodajne oświadczenie wicepremiera Gomułki, że „nie legitymacja partyjna świadczy o wartości człowieka, ale jego praca". Niestety „gorliwcy", jakich nie brak w każdym systemie opacznie rozumieją jednoznaczne wypowiedzi osób stojących u steru nawy państwowej. Przykład „bezetów" jest przypadkiem krańcowym i dlatego właśnie najlepiej się nadaje do demonstrowania na nim uchybień i sabotowania wszędzie jednakowo obowiązujących zasad demokracji. Rząd zapewnia, że **nie przeszłość a obecna działalność** stanowi o wzajemnym stosunku Państwa i obywateli. Prowincjonalni kacykowie tłumaczą to na swój język. W rezultacie jesteśmy świadkami faktów wysoce niepomyślnych dla obu stron.

W roku 45 wrócił z oflagu pewien kapitan Wojsk Polskich, mający pecha nosić tytuł książęcy. W niewoli nabawił się gruźlicy, w tej chwili już zaleczonej. Ma żonę, ośmioro małoletnich dzieci i od dwóch lat ugania się bezskutecznie za posadą. Pozbawiony jakichkolwiek źródeł dochodu zarabia nieoficjalnie dorywczą pracą w urzędach, które chętnie wykorzystują jego fachowe wiadomości ale nie chcą wziąć go na etat.

Coś tu nie jest w porządku i ciekawe, kto odpowiada za ten stan rzeczy tak całkowicie niezgodny z dopiero co cytowaną wypowiedzią p. wicepremiera.

Przytoczony przykład który mógłbym mnożyć jest tak bolesny, że propaganda jaką robi „Przekrój" arcyksięciu Habsburgowi z Żywca, zakrawa na nietakt i nieporozumienie. Czyż jest coś w tym dziwnego, że powrócił do Polski człowiek, który się zawsze uważał za Polaka? Wydaje mi się, że czyn taki leży w zakresie normalnych obowiązków każdego obywatela. Najwyższy czas, żeby publicyści, którzy woleli wziąć wodę w usta, zaczęli pisać o tym niewygodnym i być może drażliwym temacie. Bo nie chodzi o „bezetów", ale **o prawo do życia dla ludzi,** którzy bez względu na pochodzenie mogą służyć Polsce zasobem swej wiedzy i doświadczenia. Niewykorzystanie ich możliwości jest na pewno sabotażem. W dyskusji, którą pragnąłbym zapoczątkować, oby brakło powoływań się na czynniki oficjalne. Ich stanowisko zostało dostatecznie ujawnione. Postarajmy przyjrzeć się z bliska jak wygląda stosowanie mądrych przepisów w praktyce.

Ustalmy kto ponosi za to odpowiedzialność i alarmujmy Rząd oraz opinię publiczną. Nonsensem byłoby czynienie z „bezetów" po raz drugi męczenników narodowych wbrew ich własnej woli.

Stanisław Nik Rostworowski

Piotr Grzegorczyk

Krytyka pewnej powieści

W podjęciu tematu nowej powieści Jana Dobraczyńskiego „Dwa stosy" (Wydawnictwo „Panteon", Warszawa 1947, str. 327) widać jakiś swoisty rys fantazji, coś szlachecko - romantycznego: normalnie każdemu pisarzowi wystarczyłby aż nadto, zdaje się, jeden stos, albo Huss, albo Joanna. Dobraczyński zachłannie sięga po obie okrutne dziejowe tragedie, które z osobna skusiły już tak wiele rozgłośnych piór, a do których świeżo przybyła 4-aktowa wychwalana sztuka Vermorela „Jeanne avec nous". Nie waha się tragedie te przeciwstawić sobie w jednotomowej powieści obejmującej w 18-letnim okresie ogrom wydarzeń, opisów, faktów i ludzi. Spina ją polską agrafą: akcja zaczyna się i kończy w Polsce, wątek romansowy związany jest z naszym krajem, jego bohaterem Polak. Mimo tego pomysłowego chwytu i dobrze przemyślanej konstrukcji utworu, powiedzmy z góry, że owa zbytnia zwięzłość, acz posuwająca wartko tok wypadków, nie wszędzie wyszła powieści na dobre. Kondensacja niektórych partii przypomina nieledwie scenariusz filmowy, lub podręcznikowe ujęcie przebiegu dziejów. Nieuniknioną jej konsekwencją była niekiedy pobieżność i pośpiech uderzający zwłaszcza w przedstawieniu ogromnej ludzkiej tragedii Hussa. Dobraczyński jest celnym narratorem, chociaż w ferworze swady nie unika łatwizn. Narracja przykuwa nas wprawdzie do powieści, ale pragnęliśmy się przecież zatrzymać nad popiołami męczennika czeskiego, głębiej odczuć i zrozumieć jego winę i karę. Zbyt migawkowo przesunął się przed naszymi oczami ten film zdarzeń, którego nie możemy zwolnić

Wcale nieprzygotowanych zanurza nas autor następnie w splątane środowisko francuskie, spieszno mu bowiem do głównej bohaterki, do Joanny ukazanej po prostu, po ludzku, bez patosu, wzruszającej właśnie ową czystością i prostotą rysunku, zawsze wyraźnego w konturach, wycieniowanego czasami doskonale. Jesteśmy więc w końcu średniowiecza, ale bynajmniej nie czujemy wokół siebie średniowiecznej atmosfery. To próba powieści tym osobliwsza, że autor patrzy na owe czasy dzisiejszymi oczami nie chodzi mu, jak się zdaje, o wywołanie specyficznego nastroju ani klimatu „mroków" średniowiecza. Brak więc w utworze tej patyny mediewalnej, którą najłatwiej stwarza pewna stylizacja językowa, nie koniecznie nawet archaizacja. Polszczyzna „Dwóch stosów" potoczysta, dobra, niewyszukana, raczej codzienna, nie stroni od wyrazów pachnących dzisiejszością, np. Zawisza „s z a l e n i e bogaty" (13), „kochał wojnę i sławę, na resztę pogardliwie m a c h a ł ręką" (14), itp. Brak też w powieści mimo pewnych średniowiecznych akcesoriów i wątków literackich, średniowiecznego spojrzenia na świat. Nic przeto dziwnego, że w rozwiązywaniu sytuacyj psychologicznych zabrzmi czasem ton zgoła nowoczesny, np. „Konflikt płci! Ileż o nim pisano i mówiono! Na szalach delikatnej wagi dokonuje się ciągle tajemnicza wymiana ciosów"... 186). Dłuższy ten passus ma stanowić wyjaśnienie, dlaczego Anglik Glasdale nienawidził Joanny, chociaż już przed tem autor zapewnia, że: „Należał do ludzi, w których wyjątkowo mocno tkwił instynkt walki między obiema płciami. Kobieta była dlań wrogiem, a jej uległość musiała być wynikiem zwycięstwa nad nią... Glasdale pogardzał Joanną, jak pogardza w rzeczywistości każdy, komu donżuanizm ogarnął serce i wdarł się w duszę".

Zaważyły więc na tej pierwszej chronologicznie, bo napisanej w całości jeszcze przed wojną, powieści Dobraczyńskiego, pewne publicystyczne skłonności autora, i nie potrafił powstrzymać się jeszcze od pewnych koniecznych przemilczeń i wyrzeczeń nieodzownych w konstrukcji dzieła literackiego.

Aurę średniowiecza miały może wnieść ponure motywy o piętrzącej się okropności, jak np. nienawiść ojca do syna, mimowolne synobójstwo, oślepienie żony, zaprzedanie duszy diabłu etc. Zespolone są z „polską" akcją powieści i potrzebne do przeprowadzenia tezy o miłosierdziu Bożym. Zszyte są one zgrabnie z akcją historyczną opowiadania, chociaż żadnego niemal wpływu na rozwój tej akcji nie wywierają. Stanowią warstwę wątku romansowego, którą autor skleja całość, wypełnia luki i formuje według własnych potrzebnych mu celów. Rycerz Bolesta za sprawą Joanny odzyskuje wiarę i powraca do opuszczonej żony, aby tu wreszcie po latach błąkania i męki zyskać to przeświadczenie, które autor w końcu wypowiada: „Bóg nie stoi nad nami jak groźny cień, zaciemniający nasze życie. Jest wszędzie... Jeżeli razi nas, to dlatego, aby potem każdą boleść zamienić w ustawiczną, natchnioną radość. Pochyla się nad nami najmiłościwszym pochyleniem matczynym, bierze nas w ramiona, by nas ustrzec. Daje nam swoją miłość — miłość z którą nic się nie może równać — miłość nieskończonych poświęceń dla nieskończonych radości"...

Dzieje duszy tego rycerza, który z otchłani mroku sam instynktownie dąży ku morzu światła, który traci łaskę przy jednym stosie, ażeby ją pozyskać przy drugim, stanowią problem sam w sobie niezmiernie interesujący i zarazem dowód wnikliwego przemyślenia i przygotowania ideologicznego zrębów powieści. Dzieje te obok historycznego dramatu, tworzą bliżej czytelnika zajmujący dramat indywidualny, psychologicznie pogłębiony, osobnika skupiającego nasze zainteresowanie i sympatie. Ten dramat mógłby być dramatem współczesnym, ale artystycznie nas nie zadowala, nazbyt jest robiony, mało prawdopodobny, mimo motywów tragicznych, brak mu istotnie tragicznych napięć. Że jednak, pomimo tych krytycznych zastrzeżeń czytamy powieść Dobraczyńskiego z satysfakcją, sprawia to ogromny i szczery talent autora, nieprzeciętna ambicja pisarska i rzadko spotykana śmiałość w podejmowaniu najtrudniejszych tematów, a wreszcie to, co promieniuje z jego książki najżywiej — duch katolicki. Utworem tym wszedł Dobraczyński w szranki beletrystów, następne, później napisane, choć wcześniej wydane powieści dowiodły już jaką w nim zyskujemy w literaturze pozycję. Ale komu wiele dano, od tego wiele żądać należy *).

Piotr Grzegorczyk

*) Uwagi powyższe napisane były przed zapoznaniem się z obszernym artykułem Kazimierza Koźniewskiego „Dorobek pisarski Jana Dobraczyńskiego" (Twórczość, wrzesień 1947), z którym ma pewne niezależnie powstałe zbieżności.

W świecie...

W ostatnich tygodniach uwaga całego świata skierowała się znowu ku O.N.Z. W przededniu otwarcia Generalnego Zgromadzenia jeszcze raz przypomniano sobie przebieg dotychczasowych prac tej międzynarodowej instytucji, która kiedyś była przedmiotem niekończących się marzeń na całym, znużonym wojną globie ziemskim. Niestety bilans wypadł ujemnie. Nawet sprawa Indonezji jedyny problem, którego rozwiązanie przez Radę Bezpieczeństwa nosiło cechy energii i zdecydowania, w konsekwencji okazała się tak samo połowicznie załatwiona jak i wszystkie zagadnienia rozważane dotychczas na forum ONZ. Toteż obecnie wydaje się, że ONZ stoi w obliczu ostatniej próby. Tymczasem zaś pierwsze dni obrad odznaczały się dosyć gorącą atmosferą. Sensacją było wystąpienie Wyszyńskiego, zwrócone przeciw polityce U.S.A., prowadzącej jego zdaniem do rozpętania nowej wojny. Jednym z ciekawszych fragmentów mowy sowieckiego delegata było stwierdzenie, że propaganda wojenna obejmuje społeczeństwo amerykańskie, wytwarzając wśród niego specyficzny nastrój podekscytowania. Mowa Wyszyńskiego wywarła oczywiście wielkie wrażenie w całym świecie i... jak zwykle b. różne komentarze zależnie od nastawienia politycznego obserwatorów.

Abstrahując jednak od słuszności tych czy innych ocen, wypada stwierdzić, że Wyszyński postawił sprawę jasno i jeśli obie strony wykażą dobrą wolę mowa ta nie przyczyni się do zaognienia stosunków a wręcz przeciwnie może ułatwić porozumienie. Najbardziej bowiem szkodliwe są dymne zasłony przemilczeń i hypokryzji otaczające wydarzenia międzynarodowe.

Jeśli chodzi o politykę amerykańską na terenie Europy, to coraz wyraźniej obserwuje się ochłodzenie w stosunku do koncepcji made in USA.

Francja w ostatnich czasach odżegnuje się stanowczo od imputowanych jej posunięć politycznych, idących po linii rozbicia Europy na dwa bloki. Zaprzeczył tym pogłoskom min. Bidault, ostatnio zaś prezydent Auriol w mowie wygłoszonej w Marsylii, dał wyraz tendencjom polityki francuskiej w sposób kategoryczny, stwierdzając, że Francja nie weźmie udziału w żadnej akcji zmierzającej do rozbicia Europy na dwa bloki. Tym niemniej nad Sekwaną ścierają się w chwili obecnej bardzo s i l n e p r ą d y p r a g n ą c e p c h n ą ć F r a n c j ę n a n o w e t o r y, wygodne dla nich. Zewnętrznym objawem tych usiłowań są coraz gwałtowniejsze rozgrywki partyjne jak również tarcia w łonie poszczególnych stronnictw a przede wszystkim D.D.T.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego".

U W A G A!!!

OSTATNIA NOWOŚĆ

ukazało się II wydanie

K S I Ą Ż K I

W. Okońskiego

WIELKA TAJEMNICA

Książka Rewelacja

Cena: 200 zł + koszty przesyłki

Książka, którą musi przeczytać

k a ż d y chłopiec i młodzieniec;

k a ż d y ojciec i wychowawca.

Z a m ó w i e n i a: Warszawa 12, skrzynka pocztowa 40 Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

K s i ą g a r n i o m r a b a t

Jerzy A. Górski

TEORIA PRAKTYKI

Poniżej zamieszczamy szczegółowe omówienie kwartalnika, wydawanego przez K.C. P.P.R. p.t.: „Nowe Drogi". Uważamy, że z treścią tego poważnego i autorytatywnego wydawnictwa zapoznać powinien się każdy, kto pragnie wiedzieć jakie są poglądu i perspektywy na najbliższą przyszłość naszych ideowych przeciwników. REDAKCJA

W ostatnich czasach namnożyło się u nas najrozmaitszych periodyków, tygodników, dwutygodników, miesięczników itp. o różnym poziomie i jeszcze różniejszej tematyce. W tej powodzi żadrukowanego papieru przeważa niewątpliwie typ wydawnictw t. zw. literacko - społecznych, chociaż nie zawsze jest to zaznaczone w podtytule danego pisma.

I właśnie te wydawnictwa cieszą się największą, (przeważnie zasłużoną) popularnością z racji swej przystępności (myślę raczej o treści niż o cenie), aktualności poruszonych zagadnień i dość obficie umieszczonych „kawałków literackich". Ukazują się jednak i inne czasopisma wypełnione wyłącznie suchą, w mniemaniu czytelnika, treścią, materiałem par exellence programowym i dlatego nie docierają na ogół do rąk szerszej publiczności ,ba! mało kto wie o ich istnieniu. Z drugiej strony jednak należy przypuszczać, że wydawcom nie zależy na zainteresowaniu ogółu społeczeństwa owocami swej działalności. Jeśli bowiem wydawcą jest partia polityczna, znana z wielkich zdolności propagandowych, to brak reklamy w tym wypadku należy uważać za zamierzony celowo. Zresztą poza tym szerszej poczytności nie sprzyja też naprawdę wysoki poziom...

Przechodząc od tego ogólnego omówienia do podania faktów, możemy naszym czytelnikom zakomunikować, że PPR od kilku już miesięcy wydaje kwartalnik „Nowe Drogi". Tak się jednak dziwnie złożyło, że mimo ukazania się 4 już numerów owego kwartalnika, jakoś o nim głucho: nawet w zaciętych dyskusjach programowo-politycznych mało kto powoływał się na to bądź co bądź, autorytatywne źródło. W każdym razie w porównaniu z Kuźnicą, wypełniającą forsowania poglądów marksistowskich drogą pyskówek, Nowe Drogi noszą charakter wydawnictwa naprawdę poważnego. Poza tym jest to periodyk PPR-u w pełnym znaczeniu tego słowa, o linii zdecydowanej i naszpikowany najwybitniejszymi nazwiskami marksistów, mówiąc krótko, organ oficjalny.

Sądzimy, że czytelnikom naszym łatwiej będzie zapoznać się z lewicowym oświetleniem pewnych problemów w ujęciu ludzi reprezentujących bezwątpienia konkretną myśl polityczną niż z ziejących atmosferą paszkwilu elaboratów. W Nowych Drogach zwraca uwagę spokojne ujęcie wszystkich niemal tematów, od czasu do czasu jedynie podają gromkie potępienia pod adresem reakcji i PSL.

W piśmie tym spotkać także można, co brzmi dość oryginalnie, choć nie stanowi nic nowego, miejscami dość ostrą polemikę pod adresem niektórych grup czy osób z łona partii zblokowanych".

Jakie zadanie mają wypełnić Nowe Drogi? Stwierdziliśmy już, że nie propagandowe. Odpowiedź na to pytanie daje nam nieświadomie R. Werfel w numerze 3 „Nowych Dróg" pisząc: „Nie dawaliśmy dotąd teoretycznego uogólnienia naszej praktycznej pracy. Ale praktyka ta wyrastała z zasadniczych koncepcji teoretycznych, jakie przyjął ruch robotniczy w ciągu lat swej walki i pracy, z zasadniczych nastawień, które stały się wspólnym dobrem ogółu aktywistów ruchu robotniczego w ciągu wieloletnich zmagań i pracy ideowej minionego okresu. Praktyka nasza zawsze opierała się o naukową — to jest marksistowską analizę naszego społeczeństwa i sił, jakie w nim działają... Obecnie chodzi o usunięcie dysproporcji pomiędzy naszymi osiągnięciami praktycznymi a naszą teorią, o marksistowskie oświetlenie całokształtu naszej rzeczywistości polskiej".

„Stają przed nami, przed ruchem roobtniczym, zagadnienie analizy teoretycznej, oblicza tego, co przywykliśmy nazywać „polską drogą rozwoju", treści społecznej, treści gospodarczej, politycznej, kulturalnej, tej naszej „polskiej drogi".

„Nowe Drogi" jak wynika z ich treści, poświęcone są zatem owej analizie teoretycznej o której wspomina Werfel.

Zanim przejdziemy do omówienia kilku ważniejszych pozycji z numeru 3 i 4, pragniemy zaznaczyć, że będzie to tylko i wyłącznie omówienie, notatka informacyjna w powiększonych rozmiarach — a nie artykuł dyskusyjny. Dlatego wstrzymujemy się od wszelkich komentarzy mogących zmienić charakter naszego sprawozdania.

Skoro rozpoczęliśmy od cytowania Werfla pozostańmy dalej przy jego atykule opatrzonym ciekawie zapowiadającym się tytułem: „Istota naszego państwa i problem biurokratyzmu".

Werfel przystępuje do swych rozważań przedstawiając dwie zasadnicze, nurtujące przed wojną w ruchu robotniczym, koncepcje państwa i przejęcia władzy państwowej przez klasę robotniczą. Pierwsza koncepcja wypracowana przez Marksa i Engelsa a pogłębiona przez Lenina i Stalina mówią, że każde państwo jest państwem jakiejś klasy lub klas społecznych. Ponieważ zaś dotychczas klasą tą byli „wyzyskiwacze" więc klasa robotnicza musi dokonać przewrotu, zdobyć władzę i zlikwidować wyzysk. Treścią społeczną państwa są nie jego ustawy, czy struktura, ale aparat państwowy, nastawiony na służbę dla jednej określonej klasy, a **nie mogący** służyć innym. Wobec tego „klasa robotnicza może zwyciężyć tylko w drodze zbrojnej rewolucji która zdruzgocze dotychczasowy aparat państwowy i na jego miejsce postawi inny aparat, swój, złożony z ludzi oddanych, bez reszty, sprawie klasy robotniczej, sprawie zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka". Bowiem jak powiada Marks „funkcja istotna państwa to utrzymanie aparatu uzbrojonych ludzi, utrzymanie ładu i porządku", a jak dokładniej jeszcze tłumaczy p. Werfel „ładu i określonej klasy, klasy panującej w państwie". „Taki aparat państwowy nazywa marksistowska teoria aparatem dyktatury proletariatu".

Druga koncepcja — międzynarodowej socjaldemokracji uważa, że aby klasa robotnicza zdobyła władzę nie musi łamać aparatu państwowego — wystarczającym środkiem będzie kartka wyborcza. „Aparat państwowy jest jak karabin, strzela zgodnie z wolą tego, kto go wziął do ręki".

Następnie Werfel opierając się na przykładach historycznych (republika weimarska) udawadnia słuszność koncepcji komunistycznej i zdradę socjaldemokratów. Przy okazji dostało się Anglii i Francji, na ich przykładzie bowiem Werfel motywuje swój pogląd, że kto stanął na gruncie dotąd istniejącego aparatu państwowego, staje się jego więźniem, niezależnie od swych intencji (kozły ofiarne oczywiście Labour Party i SFIO). Zagadnienie powyższe w Polsce posiada odrębny aspekt, gdyż tutaj „zasadniczym problemem zwycięstwa klasy robotniczej" było po „rozbiciu starego aparatu burżuazji postawienie na jego miejscu swojego ogólnoludowego aparatu państwowego, który by bronił władzy ludowej przed każdą próbą jej obalenia. Ponieważ jednak w Polsce aparat burżuazyji „został zdruzgotany przez klęskę wojenną i własne bankructwo" zadaniem towarzyszy p. Werfla było „niedopuszczenie do jego odrodzenia" i „stworzenie na jego miejsce nowego aparatu władzy państwowej". I teraz p. Werfel konkluduje „W ten sposób powstała „polska droga rozwoju", droga demokracji ludowej, droga nieprzewidziana przez klasyków marksizmu, ale bynajmniej nie sprzeczna z marksistowską teorią państwa, przeciwnie stanowiąca jej konsekwentne, słuszne zastosowanie do kierunków polskich okresu wojennego i przedwojennego".

Dzięki temu specyficznemu charakterowi — zdaniem Werfla, nowy aparat państwowy w Polsce mógł wykorzystać ludzi z dawnego aparatu i stanowi narzędzie szerokiego frontu różnych warstw społecznych, oczywista tych pracujących, co w niczym nie zmienia faktu, że jest on „aparatem przymusu jednych klas — robotników, chłopów, inteligencji pracującej — przeciwko klasie kapitalistów, zarówno w mieście, jak na wsi.

Werfel wspomina jeszcze o istnieniu, zwłaszcza w krajach romańskich, trzeciego poglądu na państwo, a mianowicie anarchistycznego, dążącego do zupełnego rozbicia państwowości. Pogląd ten zwalczany jest przez marksistów, którzy wskazują na fakt, że po dokonaniu przewrotu pozostają nadal elementy kapitalistyczne, usiłujące obalić nowy porządek, jeśli zaś nawet one zostaną definitywnie zlikwidowane to pozostają jeszcze sąsiadujące państwa kapitalistyczne. Streszcza to wszystko Werfel w następujący sposób „dopóki istnieje różnica pomiędzy klasami społecznymi, dopóki istnieje w społeczeństwie walka klas, dopóty musi istnieć również państwo, musi istnieć aparat państwowy".

Po tych ogólno teoretycznych stwierdzeniach p. Werfel przechodzi do oceny warstw społecznych w Polsce i tu, jak mówią Francuzi „**enfourche sondada**". A więc przeprowadza podział na świat pracy i wyzyskujących, zaznaczając jednak co do tych ostatnich, że demokracja ludowa nie chce i nie może usuwać tych warstw z życia społeczeństwa, gdyż pewne spełniane przez nie funkcje są niezbędne i pożyteczne. Ale musi ona sobie zdawać sprawę z ich tendencji, musi kontrolować je, musi przeciwdziałać ich szkodliwym dążeniom". Chodzi tu oczywiście — wyjaśnia p. Werfel — o średnich i drobnych przedsiębiorców prywatnych w handlu i przemyśle, którymi kieruje „logika klasowa instynktu, logika przeciwstawiania się wszystkiemu, co wzmacnia ustrój gospodarczy i polityczny demokracji ludowej, ograniczający ich możliwości wyzysku". Wprawdzie, „szczególnie pomyślne pod pewnymi względami warunki, jakie mamy w Polsce stwarzają nam możność — przy realizacji Planu Odbudowy Gospodarczej — zneutralizowania części tych warstw", ale „uznając w pełni tę możliwość i uważając za nasz obowiązek jej wykorzystanie musimy i tu stwierdzić":

„Po pierwsze, ta możliwość jest narazie tylko teorią, a obecnie elementy wyzyskujące, a w pewnym rzędzie elementy spekulanckie są na ogół w tej czy innej formie, wrogie demokracji ludowej".

„Po drugie, nawet po zneutralizowaniu tych warstw elementy nieprzejednane będą walczyły przeciwko demokracji ludowej, będą walczyły o nieograniczone możliwości wyzysku dla siebie".

Po czym p. Werfel konkluduje: „Przedstawiciele wielkiego kapitału i obszarnictwa, zarówno rodzimego, jak i międzynarodowego — to ośrodek dyspozycyjny, to kierownicy i zleceniodawcy, pozostałe elementy wyzyskujące to w pewnej mierze, podstawowa baza społeczna obozu reakcji prowadzącego nadal walkę o przywrócenie w Polsce panowania kapitalistów i obszarników". Stąd i dalsze wnioski p. Werfla wyżywającego się w walce z reakcją „ostateczne zwycięstwo w tej walce zależy od sprawności aparatu państwowego demokracji ludowej, aparatu przymusu, stosowanego przez masy ludowe wobec klas wyzyskujących, wobec ich politycznych, gospodarczych przedstawicieli", ,musimy umacniać rozbudowywać, ulepszać, usprawniać aparat państwowy demokracji ludowej, aparat władzy mas ludowych".

Następnie p. Werfel rozprawia się z przeciwnikami t. zw. „biurokratyzmu", utrzymując, że jest on tylko źle nazwanym przejawem kontroli, ingerencji państwa. „Wolność od biurokratyzmu o jakiej marzy kapitał prywatny, to wycofanie się państwa ludowego, wycofanie się aparatu państwowego demokracji ludowej z ingerencji w życie gospodarcze — narazie do granic zakreślonych upaństwowieniem podstawowych gałęzi przemysłu".

„Jesteśmy przeciwnikami tych wszystkich koncepcji. Jesteśmy ich przeciwnikami, gdyż uważamy, że państwo ludowe jest lepszym obrońcą interesów mas robotniczych i chłopskich, aniżeli chaos panujący na wolnym rynku".

Tym niemniej p. Werfel dostrzega i objawy autentycznego, nawet w jego mniemaniu , biurokratymzu — tłumaczy to jednak zgubnym wpływem wywieranym na nowych ludzi rekrutujących się z mas ludowych, przez ludzi, którzy kiedyś pracowali w burżuazyjnym aparacie państwowym (Werfel zastrzega się, że nie dotyczy to wszystkich). Tym samym motywuje też zjawisko korupcji. Walkę z biurokratyzmem widzi zaś Werfel w obsadzaniu wszystkich dziedzin życia państwowego ludźmi pochodzącymi z warstwy robotniczej i chłopskiej.

W ostatniej części swego artykułu Werfel polemizuje z Hochfeldem, który „widzi niebezpieczeństwo wyodrębniania się grupy kierowniczej demokracji od mas ludowych, powstania grupy administratorów i techników, grupy społecznej, wewnętrznie zróżniczkowanej i zhierarchizowanej, wywodzącej się z różnych warstw i klas, posiadającej jednak poczucie łączności, podobny styl życia, wspólne interesy". Werfel zarzuca Hochfeldowi opieranie się na teoriach Róży Luksemburg, których niedorzeczność wykazał już Lenin. Dalej zaś uważa, że kierownicy nie mogą stworzyć ani nowej klasy społecznej, ani nowej polityki gospodarczej. To natomiast co dostrzega Hochfeld, są to jedynie przejawy biurokratyzmu, które należy tępić.

Kilka zdań niżej Werfel orzeka, że jeśli chodzi o Hochfelda, to „z całego toku jego rozumowania wynika, że — być może nieświadomie — stoi on w stosunku do naszego ludowego państwa na gruncie starej burżuazyjnej koncepcji państwa". Werfel sugeruje nawet że zwracanie uwagi społeczeństwa na powstawanie nowej klasy posiadającej w momencie, kiedy trwa jeszcze walka z reakcją", jest kierowaniem „uwagi mas ludowych na fałszywy tor". Krótkim wykładem na temat, kto jest wrogiem mas robotniczych w Polsce, jak należy go zwalczać, kończy Werfel swą odpowiedź Hochfeldowi.

W numerze 3 znajdujemy artykuł Hilarego Minca p. t. „Charakter i tendencje rozwojowe naszego przemysłu", będący fragmentem przemówie-

Eugeniusz Paukszta

Jeszcze raz o „Pod Błękitami"

Recenzja p. D. K., w numerze 36 „Dziś i Jutro", sprowokowała mnie do skreślenia poniższych uwag. Chodzi o książkę Szczepana Jeleńskiego — „Pod błękitami", pierwszą z wielkiego cyklu rozpowieści „Valde Ama".

Pragnąc coś powiedzieć na temat tej pracy należy przede wszystkim zastanowić się nad faktem użycia przez autora jako nazwy formy swej książki terminu — **rozpowieści.** Nie powieść więc, ale coś i zbliżonego do niej i odległego zarazem. Nowa forma utworu zezwala na nowość, oryginalność ujęcia. Nie podpada pod żaden szablon. Dlatego i szablonem nie można jej mierzyć. Można mieć zresztą zastrzeżenia co do właściwości użycia tej formy, nie można jednak zaprzeczać prawa konsekwentnej postawy autora w stosunku do wybranego przez siebie rodzaju tworzywa artystycznego.

„Ja kocham myślenie, to taka arcyludzka rzecz" — mówi któraś z fabularnych postaci rozpowieści. Tu bodaj kryje się założenie autora. Kochać myślenie, nauczyć je kochać. Przez myśl podnosić się wzwyż. Przez myśl, ale nie przez korzystanie z umysłu. Bo właśnie pierwsze jest sztuką, drugie rzemiosłem. Pielęgnować, rozprzestrzeniać miłośnictwo myśli, jest tezą narzuconą przez autora coraz silniej w trakcie wczytywania i wmyślania się w jego pracę.

Dowodem tych właśnie intencji wyjściowych Jeleńskiego są dwa motta. Pierwsze, Mickiewicza dla całego cyklu rozpowieści — „Nic pożądańszego na ziemi i nic trudniejszego niż prawdziwa rozmowa" i drugie, dla tomu „Pod błękitami" — Kochanowskiego — „Weźmy przedsię myśli godne siebie, myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie".

Istotną jest więc dla książki atmosfera myśli. I ten punkt widzenia przede wszystkim powinien być brany pod uwagę przy ocenie książki. Konstrukcja myśli, jej oryginalność i słuszność, jej wydźwięk światopoglądowy.

Ludzkość nie dostrzega rzeczywistości, będącej znamieniem prawdy. Żyje złudzeniem, pozorami, przeczącymi tej prawdzie, i dlatego nie umie doceniać piękna. Chcąc odnaleźć rozumienie rzeczywistości, trzeba myśleć. Ludzie mają skłonność do opuszczania się umysłowego, stąd wpadają w prostację duchową. Brak im namiętności poznania, osiągalnej przez pobudki ciekawości, zdziwienia i **najgłębsze — podziwu.** Podziwu dla prawdy i piękna, tkwiących w rzeczywistości. Odczucie Prawdy i Piękna otwiera drogę do Miłości, która jest najistotniejszą sprawą ziemskiego bytu człowieka. Człowieka ucieleśniającego duszę.

Szerokim tłem pokrótce i najogólniej sformułowanego powyżej toku idei przewodniej, jeszcze krócej streszczającego się do słów św. Augustyna „Intellectum valde ama", jest astronomia, zezwalająca na rozszerzenie pojęcia przestrzeni i stąd łatwiejsze zrozumienie rozważań autora, wyrażanych przez rozmowę postaci rozpowieści. Przez tę prawdziwą rozmowę, o której mówi Mickiewicz w cytowanym motto.

Myśl, by mogła w pełni być twórczą, musi mieć podkład w wiedzy, w możliwie szerokim podkładzie wiadomości, we właściwym rozeznawaniu rzeczywistości. Stąd wypływa rzeczywiście bogata treść intelektualna rozmów, prowadzonych przez postaci, występujące w rozpowieści (umyślnie używam słowa postaci, nie bohaterów).

Wszechświat opiera się o pierwiastek duchowy. Jest przepełniony życiem, nasz zaś świat stanowi jego równie żywą część składową. Rządzące ziemią prawa nieprzezwyciężalne, są powszechne i obowiązujące we wszechświecie. Istnieje więc wza-

MARKSISTOWSKIEJ

nia wygłoszonego na plenum KC PPR. Przytaczamy tu jego najważniejsze punkty, głównie z uwagi na to, że wiąże się on z innym artykułem, który omówimy poniżej.

Na wstępie Minc wykazując rozmaite typy ustrojowe, stwierdza, że obecny system gospodarczy w Polsce jest systemem mieszanym tj., że występują w nim typy ustrojowe kapitalistyczne i socjalistyczne. Uwzględniając, iż istnieją dwie formy przemysłu kapitalistycznego, a mianowicie forma prywatno - kapitalistyczna, gdy środki produkcji należą do kapitalisty lub grupy kapitalistów, a wartość dodatkowa idzie do ich kieszeni, oraz forma państwowo - kapitalistyczna, kiedy pewne gałęzie przemysłu należą do Państwa, ale gospodarka jest kapitalistyczna i owe przedsiębiorstwa państwowe stanowią własność klasy kapitalistycznej danego kraju.

Minc mówi, że w Polsce nie ma żadnej z tych form. Zastanawia się wobec tego czy przemysł polski jest przemysłem socjalistycznym, t. j. takim, w którym środki produkcji znajdują się w rękach państwa niekapitalistycznego, a produkt dodatkowy osiągany w produkcji idzie do rąk państwa, które rozdziela go planowo. Minc jest zdania, że przemysł polski zawiera znaczne elementy socjalistyczne, jednak produkt dodatkowy idzie do rąk kapitalistycznych pośredników, sprzedawców i nabywców. I tu autor obrazuje poszczególne formy owego „przechwytywania produktu dodatkowego" rozważając możliwości zlikwidowania tego stanu rzeczy. „Zagadnienie stoi tak: albo siła naszego państwa, siła jego aparatu oraz siła ekonomiczna tego państwa potrafią sobie podporządkować rynek i wtedy przemysł nasz będzie się stopniowo przekształcał w przemysł konsekwentnie socjalistyczny, albo też rynek nie zostanie opanowany i dominować będzie żywioł rynku kapitalistycznego". „Walka toczy się i będzie się toczyła o to, czy nasz przemysł stanie się konsekwentnie socjalistycznym, czy też przekształci się w system kapitalistyczno-państwowy, a następnie w system kapitalistyczno-prywatny". Min. Minc uważa, że zarówno walka o poddanie kontroli elementów rynkowo - kapitalistycznych nie oznacza dążności do zlikwidowania tychże elementów, jak i nie prowadzi do administracyjnego ograniczenia ich rozwoju. Jaka wobec tego winna być polityka kontroli? „Musi ona polegać po pierwsze na takiej organizacji ekonomicznej i administracyjnej rynku, przy której zysk pośrednika kapitalistycznego będzie odpowiednikiem poniesionych kosztów, z pewną marżą, dostateczną dla rozszerzenia przedsiębiorstwa, ale nie pozwalającą na przechwytywanie produktu dodatkowego, wytworzonego w sektorze państwowym. Po drugie — na takiej kontroli administracyjno - ekonomicznej rynku, przy której stosunek cen artykułów rolnych i przemysłowych będzie odpowiadał faktycznemu stosunkowi wartościowemu i będzie umożliwiał dalszy rozwój aparatu przemysłowego, nie prowadząc, jak się to dzieje obecnie do przechwytywania produktu dodatkowego, wytworzonego w sektorze państwowym głównie i przede wszystkim przez bogatą część wsi". Min. Minc twierdzi, że walka o opanowanie rynku nie oznacza, ani likwidacji, ani przekreślenia możliwości rozwoju elementów rynkowo kapitalistycznych" — a tylko walkę o kontrolę.

Przechodząc do określenia trzeciego sektora gospodarczego: sektora spółdzielczego Minc uważa, że charakteryzować go trzeba nie według klasyfikacji własnościowej, a typu ustrojowego. I dlatego formułuje dość ostre poglądy „...nie znamy i nie możemy znać tego dodatkowego typu ustrojowego, który się nazywa ustrojowym typem spółdzielczym". „Należy sobie zdać sprawę, że w pewnych warunkach spółdzielczość może się stać formą walki drobnych wytwórców, a zwłaszcza drobnych kapitalistów, z kontrolą państwową".

Zdaniem Minca istnieją dwie alternatywy, jeśli chodzi o przyszłość spółdzielczości: „czy spółdzielczość stanie się najbardziej zrozumiałą i najbardziej korzystną dla mas drobnych wytwórców, formą ewolucji ku nowym formom ustrojowym, ku socjalizmowi, czy też stanie się ona specyficzną formą dominacji elementów rynkowo - kapitalistycznych, formą nawrotu do systemu gospodarki kapitalistycznej". Przyszłość spółdzielczości zależy „od uświadomienia sobie, że spółdzielczość nie jest typem ustroju społecznego, lecz tylko formą zrzeszania się drobnych wytwórców, bądź na drodze ku umocnieniu systemu gospodarki Demokracji Ludowej, bądź też na drodze powrotu do gospodarki kapitalistycznej". I wreszcie konkluzja p. Minca „wbrew niektórym mylącym się interpretatorom ustawa o unarodowieniu przemysłu z dn. 3.I.1946 r. wyznacza w dziedzinie przemysłu miejsce dla spółdzielczości, jedynie w ramach miejscowych surowców i miejscowych interesów.

Te same problemy porusza Stefan Jędrychowski w Nr 4 „Nowych Dróg", w artykule p. t. „O znaczeniu niektórych różnic w ocenie bieżącej polityki gospodarczej".

Jędrychowski, sądząc ze wstępu, przeznacza swe uwagi dla tych „ogniw bloku demokratycznego", w których szerzą się pogłoski o „zmianie modelu gospodarczego", rozsiewane przez „ugrupowania reakcyjne".

Jędrychowski powtarza sformułowania Minca: Walka nie o socjalizm lecz o „zakończenie konsekwentnej budowy społeczno - gospodarczego ustroju demokracji ludowej", nie o likwidację „elementów prywatno - kapitalistycznych" a o ich podporządkowanie kontroli państwa. Rozważając rozmaite teorie na temat „równowagi" trzech sektorów i wykazując istniejące na tym polu sprzeczności, Jędrychowski podobnie jak Minc, kładzie szczególny nacisk na zagadnienie spółdzielczości.

„Spółdzielczość nie jest jednorodna. Stopień uspołecznienia nie jest jednolity w rozmaitych spółdzielniach i w różnych rodzajach spółdzielczości". „Przystosowując się do zwyczajów kapitalistycznych w handlu, goniąc tak jak kupiec prywatny za jak największym zyskiem, podporządkowuje się całkowicie nietylko prawom ale i kaprysom rynku. Spółdzielcze centrale gospodarcze i poszczególne spółdzielnie upodabniają się przez to do zwykłych kapitalistycznych przedsiębiorstw. Dużą rolę odgrywa też w tym handel z prywatnymi kupcami". „Próby przeciwstawiania spółdzielczości państwu, skierowania jej wysiłków na drogę sporów z państwem o zakres działania państwa i spółdzielczości — to formy walki elementów prywatno - kapitalistycznych o podporządkowanie spółdzielczości swoim wpływom". „Próby te należy odeprzeć i przezwyciężyć!...

Jeśli chodzi o sektor prywatny to Jędrychowski wyróżnia w jego tonie 2 grupy, tak na wsi jak i w mieście: grupę drobno - towarowych wytwórców i grupę prywatno - kapitalistyczną.

Zacytujemy teraz bardzo istotny fragment artykułu, a mianowicie odpowiedź na pytanie: „Do jakich postępowych zmian w charakterze stosunków między sektorami dąży klasa robotnicza i jej sojusznicy?" „Przede wszystkim do wzmocnienia czynnika planowania w naszej gospodarce. To wzmocnienie w pierwszym rzędzie winno nastąpić w samym sektorze uspołecznionym. Udosokonalenie i usprawnienie metod planowania w przemyśle państwowym jest pierwszym krokiem na tej drodze. Rozszerzenie planowania z dziedziny rozmiarów produkcji przemysłowej również na koszta podukcji i wydajności pracy. Przejście stopniowe do planowania zmian technologicznych w produkcji. Udoskonalenie metod planowania inwestycyjnego. Objęcie planowaniem nie tylko produkcji, ale i wymiany, a w pierwszym rzędzie zbytu i zaopatrzenia w przemyśle państwowym i planowanie handlu państwowego. Wprowadzenie planowej gospodarki finansowej w sektorze państwowym łącznie z normowaniem środków obrotowych".

Jędrychowski pisze o walce, dążącej do zniesienia uzależnienia „sektoru uspołecznionego" od prywatnego kapitału handlowego. Formami tej walki są: „administarcyjna i społeczna kontrola cen", „zorganizowanie pewnych form handlu państwowego, jak np. handel hurtowy wyrobami przemysłu państwowego, hurtowy skup zboża na potrzeby aprowizacji reglamentowanej sektora uspołecznionego, państwowy handel detaliczny w wielkich domach towarowych" oraz „oddziaływanie na rynek poprzez spółdzielczość".

Polemizując z zarzutami dotyczącymi centralizacji dyspozycji gospodarczej i jej skutków, Jędrychowski kroczy śladami Werfla, negując pejoratywne znaczenie słowa „biurokracja" i podkreślając konieczność zachowania tych a nie innych form.

Następnie przychodzi kolej na atak na „reakcję". Reakcja sprzeciwia się więc centralizacji dyspozycji gospodarczej, dąży do „wywołania zjawisk deficytowości i dekapitalizacji w przemyśle państwowym". „Dążeniem reakcji, mimo częstych obłudnych wypadków przeciw deficytowości przemysłu państwowego, jest utrzymanie deficytowych cen w przemyśle państwowym. Stąd też próba zrzucenia na państwo odpowiedzialności za zwyżkę cen, gdy przemysł państwowy podnosił swe ceny do poziomu bezdeficytowego. Stąd też próby zredukowania inwestycji w przemyśle państwowym do poziomu poniżej amortyzacji, w tym celu, aby uniemożliwić w gospodarce państwowej nie tylko rozszerzoną ale i zwykłą reprodukcję".

Po tym wywodzie natrafiamy na takie wtrącone zdanie: „I dlatego, gdy oddźwięki podobnych poglądów spotykamy w szeregach partii robotniczych, musimy je traktować jako wyraz nacisku ideologii obcej i wrogiej klasie robotniczej". O sprzecznościach wynikających między reakcją a blokiem, a nawet w obrębie samego bloku w związku ze stosunkiem do spółdzielczości cytowaliśmy już powyżej odnośne fragmenty.

Analizując politykę gospodarczą na wsi Jędrychowski zwraca uwagę na konieczność „zapewnienia przewagi faktycznej w spółdzielczości wiejskiej, podstawowej masie chłopskiej, do poddania bogatej części wsi przez spółdzielczość kontroli społecznej i państwowej". Występuje zaś stanowczo przeciw t.zw. spółdzielniom rolniczo - handlowym i ich dążeniu ku samodzielności, twierdząc, że znajdują się one w rękach warstwy bogatych chłopów.

W mieście pisze Jędrychowski, należy walczyć z takimi przejawami handlu prywatno - kapitalistycznego (?) jak anormowy handel hurtowy, przemyt, handel walutowy, lichwa, nielegalna produkcja, handel połączony z szabrem i nadużyciami w sektorze państwowym, spekulacja, paskarstwo itp. Należy więc handel prywatny poddać kontroli administracyjnej i społecznej co „wyrazi się w praktyce w ograniczeniu zysków. Wywoła to oczywiście opór, przewiduje p. Jędrychowski, co więcej „na tym tle reakcja usiłuje amputować obozowi demokratycznemu dążenie do likwidacji sektora prywatnego".

I tu notujemy ciekawą wypowiedź p. Jędrychowskiego na temat przyszłości sektora prywatnego: „To prawda, że po zbudowaniu całkowitego systemu kontroli, opartej na **konasjonowaniu** przedsiębiorstw handlowych, kontroli nad cenami i marżami zarobkowymi oraz systemu umów pomiędzy sektorem uspołecznionym a przemysłem prywatnym i rzemiosłem — sektor prywatno - kapitalistyczny zmieni głęboko swój charakter w porównaniu z obecnym. Jednakże pozostanie podstawowa zasada zysku, jakkolwiek utrzymanego w umiarkowanych określonych przez państwo granicach, pozostanie swoboda inicjatywy w granicach zakreślonych przez prawo oraz zawarte umowy ramowe".

Kończąc swe rozważania p. Jędrychowski zatrzymuje się jeszcze nad problemem stosunków gospodarczych z zagranicą, stwierdzając, że „PPR i cały obóz demokratyczny dąży do rozszerzenia i ożywienia naszych stosunków handlowych z zagranicą i do uzyskania na tej podstawie możliwie największej pomocy kredytowej w celu osiągnięcia jak najszybszego rozwoju sił wytwórczych. Dążymy do uzyskania jak największej pomocy zagranicznej, ale nie za wszelką cenę". „Reakcja natomiast dąży do uczynienia z pomocy zagranicznej narzędzia restauracji stosunków kapitalistycznych w Polsce".

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dyskutowano stale i zawzięcie na t. zw. tematy oświatowe, główny jednak nacisk koncentrował się na odcinku uczelni wyższych. W tym kierunku bowiem prowadzone były przez cały czas ataki reformatorskie „Kuźnicy" i jej satelitów, pozatem zresztą samo Ministerstwo Oświaty" uważało tę sprawę za najważniejszą i najbardziej palącą.

Żanna Kormanow w Nr. 4 „Nowych Dróg" zajmuje się zagadnieniem reformy szkolnictwa wszystkich szczebli. Punktem wyjściowym jej artykułu p.t. „Zagadnienie demokratycznej przebudowy szkolnictwa" jest bilans powojennych osiągnięć szkolnictwa w porównaniu ze stanem przedwojennym.

Autorka komentuje jeszcze te liczby zobrazowaniem osiągnięć na poszczególnych odcinkach (gimnazja wiejskie,, kursy wstępne itp.). Oczywiście nie zapomina też wspomnieć o „postulacie rewolucji kulturalnej" gdyż „groźna wymowa rozwarcia nożyc między nowym bytem Polski a jego odpowiednikami w twórczej świadomości ludzi nauki i sztuki staje przed nami co dnia". „Postulat przełomu w dziedzinie kultury przesuwa się z płaszczyzny teoretycznej spekulacji w sam gąszcz działania w zakresie kultury".

Następnie p. Kormanowa pisze o procesie rozwojowym szkolnictwa polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem społecznej strony zagadnienia, by wreszcie po szeregu historiozoficznych uwag scharakteryzować reformę jędrzejewiczowską po uchwaleniu której nastąpiła „daleko idąca negatywna stabilizacja na odcinku oświaty — niepełna realizacja obowiązku szkolnego, nisko zorganizowana szkoła na wsi, wąskie liczebnie i zamknięte klasowo gimnazja po miastach, szkoły wyższe wyraźnie elitarne, obok mizernej rozbudowy

(Dokończenie na stronie następnej)

---

jemna współzależność całokształtu zjawisk wszechświata, w którym my stanowimy znikomą cząstkę.

Szeroki wykład tych tez podbudowuje głęboko katolicki światopogląd autora. „Człowiek rodzi się na świecie, by umrzeć, a umiera, aby zmartwychwstać w wszechświecie", To jest sens, wynikający z rozumienia rzeczywistości.

Książka jest trudna w czytaniu z uwagi na konieczność intensywnego myślenia. Bez istniejącego wątku fabularnego stałaby się jeszcze trudniejsza, nabierając charakteru ścisłej rozprawy filozoficznej. Ten jej charakter odebrałby książce szeroki krąg odbiorców, którym Jeleński pragnie przekazać swoją konstrukcję myślową o wydźwięku typowo spirytualistycznym. Jednocześnie mogłaby nużyć swą ciągłością intesywnego rozumowania.

Tu tkwi motyw wprowadzenia wątku fabularnego. Nie jest istotne, na ile ten wątek może być zgodny z przeciętnym realizmem życiowym.

Rzecz tkwi w tym jednak, że w założeniu wprowadzającym autorowi nie chodzi wcale o realizm. Daje temu najwyraźniej świadectwo już w tytule pierwszego rozdziału, noszącego tytuł — Prawiara. A więc coś idealniejszego, coś pozacodziennego, do czego trzeba dążyć.

Fabuła rozpowieści ma na celu ułatwienie czytelnikowi śledzenie myśli, naświetlającej i motywującej światopogląd autora. Nie fabuła, ale myśl jest osnową książki.

Ale i co do fabuły, ostro skrytykowanej przez p. D. K. Zarzuty: „słaby, naiwny, zupełnie nieprzekonywujący". Primo — zasób wiadomości intelektualnych panny Wery, jest niewątpliwie duży, ale nie zdaje się mnie, by miał przekraczać granicę wiadomości, jakie młody człowiek **powinnien** posiadać.

Wera umie myśleć. Zasób wiedzy pomaga jej tylko w myśleniu i tworzeniu własnych konstrukcji światopoglądowych. Secundo — wątek romansowy, chociaż idylliczny, nie jest jednak wykluczony. Jest w każdym razie możliwy. Tertio — Łęski nie jest czarnym charakterem. Daleko mu bardzo do tego. Jest to człowiek słaby, o dominującym pierwiastku zmysłowym nad intelektualnym. Zresztą zmysłowość jego kryje w sobie raczej uwielbienie piękna samego w sobie.

Dalej. Atmosfera Różan. Intencją książki jest odwrócenie człowieka od zainteresowania jedynie tym, co się dzieje współcześnie dookoła, a wejrzenie także i na sprawy duchowe. Atmosfera fabularna ma to drugie właśnie na celu i wprowadzenie do niej wydarzeń zewnętrznych czy choćby ich ech, stanowiłoby raczej tylko balast, niepotrzebny ani dla autora ani dla czytelnika.

I jeszcze jedna sprzeczność zasadnicza, popełniona przez recenzenta. Pisze p. D. K. dosłownie: „Pomimo, że autor zastrzegł się w podtytule, że książka nie jest powieścią, tym niemniej dał wycinek z życia i to go obowiązywało do pewnego realizmu". Skoro się zastrzegł, miał pełne prawo właśnie uniknąć szablonu powieściowego. Atmosfera Różan i występujące na tym tle postaci, nie są wzięte z życia, ale stanowią jedynie wytwór fantazji autora i dlatego może on nie czuć się wcale zobowiązany do realizmu.

Istotą fabuły w książce Jeleńskiego jest nie odtworzenie wycinku z życia, ale właśnie tęsknota do ideału. I tę tęsknotę autor potrafi przerzucić na czytelnika, spełniając tym w pełni rolę, wyznaczoną swej książce. Kończy się czytać „Pod błękitami" z westchnieniem — chciałbym, aby tak było naprawdę.

Wreszcie ostatni zarzut, że książka zrazi poważnego czytelnika naiwnością fabuły, zaś nią zainteresowanych nie pociągnie wątek myślowy. Co do drugiej części z biedą możnaby jeszcze i było się zgodzić. Co do pierwszej natomiast, to poważny czytelnik, jeśliby i miał zastrzeżenia odnośnie fabuły, w pełni znajdzie satysfakcję w partiach istotnych, myślowych, a to jest zasadniczym celem zapoczątkowanego przez Jeleńskiego cyklu rozpowieści.

Humanitaryzm, idealizm, wiara w dobre możliwości człowieka, hasło przewodnie „valde ama", wszystko oparte o głęboką znajomość katolicyzmu i jego właściwą, piękną ocenę — sprawiają, że książka Jeleńskiego jest pozycją cenną i szczególnie ważną na tle dzisiejszych czasów „realiów" i, jak to świetnie autor określa — „pychamstwa".

Dlatego też recenzja p. D. K. wydaje mi się po prostu omyłką.

Eugeniusz Paukszta

oświaty pozaszkolnej i karłowatej, ledwo wegetującej oświaty zawodowej". Wspomina też p. Kormanowa o odduchowionym po sanacji spadku w zakresie ideologicznego oblicza szkoły. P. Kormanowa zastanawia się następnie nad linią generalną pod jętych już zmian, opierając się na dość poetycko ujętych przesłankach dochodzi do wniosku, że „Reforma systemu kształcenia ma zlikwidować krzywdę oświatową przedwrześniowej Polski, ma dać wszystkim ludziom społecznie użytecznej pracy start do wiedzy maksymalnie korzystny" i dodaje „trzeba najszerzej utorować drogi awansu oświatowego pracującej wsi i klasie najbardziej świadomej, zorganizowanej i czynnej — klasie robotniczej". Okazuje się też, jak daleko sięgają plany towarzyszy p. Kormanowej, gdy mówi ona, że celem reformy oświatowej jest „zastąpienie inteligencji dotychczasowej przez nową, robotniczo - chłopską".

„Pierwszą i główną troską Min. Oświaty w zakresie reformy szkolnictwa, była gruntowna przebudowa programów nauczania i podręczników szkoły podstawowej oraz system kształcenia kandydatów do zawodu nauczycielskiego i doskonalenie kadr czynnych wykwalifikowanych nauczycieli". Jeszcze raz wraca p. Kormanowa do planów, zresztą częściowo już zrealizowanych. „W zakresie poznania przesuwamy akcenty na nauki ścisłe: biologię, matematykę, fizykę, chemię, podane jako systemy wiedzy, ułatwiając myślenie naukowe. Encyklopedyczny układ przedmiotów współczesnej nam szkoły społecznej pragniemy scałkować w duże wielkie dziedziny wiedzy: 1) w wiedzę o społeczeństwie i 2) w wiedzę o przyrodzie i w ramach tej pierwszej i wydzielonej z niej — 3) wiedzę o człowieku".

Nauka o Polsce i świecie współczesnym „ma wprowadzić do nauczania szkolnego pewne minimum wiedzy ekonomicznej, socjologicznej i prawno - ustrojowej". Bardzo wzniośle brzmią sformułowania p. Kormanowej określające wytyczne nowej szkoły, która „pragnie oprzeć kształcenie nowego człowieka na elementach wiedzy, na krytycznej analizie spraw na ocenie rozumowej, opartej na zasadzie użyteczności społecznej, na elementach światopoglądowych". I zaraz zem potym typowa wypowiedź: „Naród robotników i chłopów nie może i nie chce sobie pozwolić na luksus oceniania walk społecznych i działalności gospodarczej — w kategoriach mistyki romantycznej".

Dalej autorka informuje nas o wprowadzeniu do szkoły powszechnej języków obcych i rozszerzenia zespołu tychże o język rosyjski jak również wprowadzenie przy nauce angielskiego materiału i tematyki amerykańskiej.

Wreszcie dowiadujemy się, że celem wysiłku poznawczego w nowej szkole ma być: „1) gruntowne opanowanie podstawowych elementów wiedzy współczesnej, stanowiących niezbędne minimum kultury ogólnej, 2) wyniesiony ze szkoły głód poznania, zapłon intelektualny i opanowanie podstawowych technik pracy umysłowej, pracy samokształceniowej, 3) przyswojenie nawyków i elementów myślenia naukowego, samodzielnego i krytycznego".

Wszystko to nie przeszkadza jednak p. Kormanowej w stwierdzeniu nieco dalej, że „Szkoła dająca tylko kulturę ogólną w wymiarze uznanym za minimum konieczne jest właściwie przeżytkiem, echem okresu w którym nie było ani powszechności nauki szkolnej, ani powszechności pracy. Szkoła średnia, ogólno - kształcąca ma dziś rację bytu o tyle tylko, o ile stanowi sui generis, szkołę zawodową, o ile przygotowuje kadrę młodzieży do tych zawodów, które wymagają ukończenia studiów wyższych". „Na długiej fali planujemy stałe podnoszenie przydziału wiedzy ogólnej, wiedzy rzetelnej i rzetelnie upowszechnionej, ale na dziś i na jutro najbliższe musimy nastawić się na masowe szkolenie zawodowe, na **masową produkcję** wykwalifikowanych kadr dla przemysłu, rzemiosła i transportu". Po wypisaniu całego szeregu truizmów o wychowaniu dla demokracji, patriotyźmie i kulcie pracy, autorka przechodzi do omówienia nowej struktury szkolnej, a więc „w miarę krzepnięcia demokracji ludowej i w miarę podnoszenia poziomu dobrobytu ogólnego, winna wyrastać jednakowo dla wszystkich, organizacyjnie i programowo, równoważna szkoła masowa, ośmioletnia, na okres najbliższy, 10 czy 11 letni, w przyszłości pod warunkiem, że od wieku lat 15 czy 16 rozciągać będziemy równolegle do wzrastającego wymiaru obowiązku szkolnego równie powszechny obowiązek pracy, produkcyjnej dla całej naszej młodzieży". „Demokracja ludowa pragnie zapewnić wszystkim dzieciom i całej młodzieży optymalny start życiowy, poprzez system oświaty. Optymalny i możliwie równy". To ostatnie zdanie brzmi nader pięknie, spotykamy jednak i inne. „Wiedzę, rzetelną wiedzę należy dać wszystkim, a przede wszystkim dzieciom chłopów i robotników" lub „Na miejsce dotychczasowej struktury szkolnej wprowadzamy nową, na razie dwuczłonową, z jedną cenzurą ustrojową i programową, cenzurą ruchomą, przesuwającą się ku górze w miarę wyrastania wieloletniej szkoły masowej, powszechnej i jednolitej, w miarę wygasania kadłubowych form szkoły społecznie elitarnej, dotychczasowej szkoły średniej, której dalsze istnienie bez zmiany składu socjalnego młodzieży byłoby jawnym nieporozumieniem". Potym następują słuszne uwagi autorki na temat walki z systemem jednoklasówek prowadzącym do powrotnego analfabetyzmu. Jeśli chodzi o szkołę średnią p. Kormanowa raz po raz powraca do reform z nią związanych: „Przede wszystkim uprzystępnić szkołę średnią. Uprzystępnić to w naszych warunkach, skócić jej trwanie"... „Z drugiej strony w interesie państwa, w interesie ogółu leży możliwie największe przyśpieszenie produkcji kadr nowej inteligencji, przygotowanie robotniczo - chłopskich — kandydatów na studia wyższe". „Dalszym koniecznym krokiem jest zniesienie organizacyjnej cenzury między szkołą podstawową a średnią. Dwa osobne lokale, dwa kierownictwa, dwa grona pedagogiczne — czymże się to tłumaczy poza tradycją i nawykiem elitarności, jeśli nie kryje mniej lub bardziej świadomej chęci utrzymania tej elitarności".

Projektowane reformy upowszechnienia szkoły średniej pójdą „drogą rozbicia szkoły średniej na dwa szczeble, niższy obejmujący elementy systematyki i wyższy zawierający naukowo rozbudowany i zróżnicowany materiał nauczania. Niższy szczebel należy odciąć od istniejącej szkoły średniej, umasowić, przebudować, włączyć do szkoły podstawowej jako jej zamknięcie... Dlatego nasza 8-letnia szkoła podstawowa nie jest i nie może być przedłużoną o rok szkołą powszechną".

Artykuł zamyka hymn pochwalny na cześć nowych kadr nauczycielskich.

***

Z nader obfitego materiału (każdy numer „Nowych Dróg" liczy około 250 stron), wybraliśmy kilka zaledwie wypowiedzi, kierując się w wyborze jedynie aktualnością poruszanych tematów. Istnieją bowiem w naszym życiu problemy wielkiej wagi w obliczu których nie wystarczy wyrobić sobie własne poglądy, trzeba znać równie dobrze poglądy strony ideologicznie prawnej a przede wszystkim motywy takiego a nie innego systemu działania i grunt ideologiczny na którym wzrastają wszelkie plany i reformy.

Chcąc zorientować nieco dokładniej naszego czytelnika w zainteresowaniach wydawnictwa PPR., wyłożymy tytuły jego stałych działów. a więc naprzód nieobjęta wspólnym nagłówkiem grupa artykułów traktujących przeważnie o problemach na wskroś aktualnych a wychodzących spod pióra partyjnych znakomitości. Następny dział opatrzony tytułem Z.S.R.R. zamieszcza przeglądy prasy radzieckiej i ciekawe rozprawki na wszelkie tematy związane z Z.S.R.R. od muzyki po teorie naukowe.

„Problemy i idee" naszpikowane są pracami typu teoretyczno - ideologicznego marksistów tak rodzimych jak obcych. Wśród tych ostatnich nie braknie oczywiście nieomylnej wyroczni i bożyszcza „Kuźnicy" p. Garandy.

„Widownia Międzynarodowa" to przeważnie sprawozdania z życia politycznego w świecie. Wreszcie szereg działów, których tytuły mówią za siebie: „Recenzje i Krytyka", Życie kulturalne, Ruch Zawodowy itd.

P.P.R. zdobyła się na czasopismo poważne, podchodzące naogół rzeczowo do wszelkich zagadnień, bez tanich chwytów, tak często niestety uprawianych przez wyznawców marksizmu. I dlatego, uznając spokojną dyskusję światopoglądową za ważny sposób kulturalnego rozwiązania problemów, z zadowoleniem widzimy w „Nowych Drogach" przeciwnika, który wie czego chce.

Jerzy A. Górski

Tydzień kulturalny

DZIWNA KSIĄŻKA I JESZCZE DZIWNIEJSZA RECENZJA

Przed wojną wychodził w Poznaniu, wydawany przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, tygodnik „Kultura", redagowany przez ks. Prałata Brossa. Otóż w tej to „Kulturze", w numerze 52 z r. 1937, ukazała się napisana przez p. dr. J. Brossową, siostrę redaktora, recenzja z książki Ignacego Silone'a „Chleb i wino". Recenzja entuzjastyczna. Zdaniem recenzentki książka była „hymnem na cześć wewnętrznej prawdy w człowieku i bezkompromisowości życia... ...Przebija się bohater do wewnętrznego oczyszczenia, do zrozumienia istotnego Boskiego celu w człowieku...".

Z odpowiedzią na recenzję p. Brossowej wystąpiło „Prosto z mostu" w numerze 10/1938. Autor artykułu zwracał uwagę, że nawrót bohatera powieści Spiny do chrześcijaństwa dokonuje się z zastrzeżeniem, że nie ma nic wspólnego z „pasożytami... mosignori w fioletowych pończochach", z hasłami, które powtarzają „tysiące księży z ambon"; że jest to, po prostu, zgodnie ze słowami książki, „chrześcijaństwo wyzute z wszelkiej mitologii, wszelkiej teologii, wszelkiej kontroli kościelnej". Powieść Silone jest powieścią artystycznie ciekawą, ale z punktu widzenia katolickiego niebywale szkodliwą i dlatego „Kultura" nie miała prawa zachęcać czytelników - katolików, aby ją czytali.

Reakcja na artykuł w „Prosto z mostu" była niezmiernie charakterystyczna: „Kultura" nie próbowała replikować, natomiast ks. Bross niedługo potem ustąpił z redaktorstwa, zaś p. Brossowa ze stanowiska recenzentki pisma.

Ustąpienie ks. Brossa było niewątpliwie podyktowane wysokim poziomem poczucia odpowiedzialności za „zgorszenie w słowie", nawet nieświadome. Taki sam charakter musiał mieć gest p. Brossowej. Oboje byli ludźmi na tak wysokim poziomie etyki publicystycznej, że o innym postawieniu sprawy z ich strony nie mogło być mowy. Trzeba aż było żałować zbyt daleko idącej reakcji ze strony dwojga zasłużonych publicystów.

Dodajmy tutaj, że nie ze wszystkim co pisało wówczas „Prosto z mostu" można się dziś zgodzić. Autor artykułu oskarżał Silone'a o perfidię: o propagandowe łączenie ruchu marksistowskiego z katolicyzmem. Jak się dziś okazuje Silone przeżywał rzeczywiście ewolucję, która w końcu kazała mu odejść od marksizmu, (aczkolwiek do katolicyzmu jeszcze nie doszedł). Tym niemniej książka pozostała szkodliwą.

P. Halina Kamieniecka, recenzentka „Tygodnika Warszawskiego", jest publicystką młodą i niedoświadczoną. Usłyszała gdzieś pewno, że Silone się „nawrócił" i — popełniła tę samą akurat „gaffę" co p. Brossowa przed dziesięciu laty. Dla p. Kamienieckiej „Chleb i wino" jest książką „czystą", „chrześcijańską z ducha", „wspaniałą". Nieobeznana niewątpliwie z cytatami z Pisma św., recenzentka nie zauważyła ile razy i jak bardzo bluźnierczo Silone ich używa. Dla niej tytuł książki „Chleb i wino" — to „chleb świętości codziennego wysiłku i wino krwawej ofiary wieńczącej". Recenzentka nie spostrzegła, że Silone mówi o Chlebie i Winie Eucharystii, którą przyrównuje do krwi i ofiary życia walczących z faszyzmem komunistów. Zgódźmy się, że ani krwi, ani życia ludzkiego dla największego nawet celu oddanych nie można przyrównywać do tamtej Krwi i tamtego Życia.

Dla recenzentki z „Tygodnika Warszawskiego„ śmierć don Benedetta „stanowi kamień węgielny książki, logiczny wynik wzniosłej działalności świętych"... Można i tak. Nie zapominajmy jednak, że don Benedetto z książki jest buntownikiem przeciwko swej władzy kościelnej i że to właśnie władza — którą recenzentka za autorem nazywa „nikczemnymi wspólnikami faszyzmu" — truje go, zatruwając wino, przeznaczone do Konsekracji. Ostatecznie wiemy, że są źli księża, źli biskupi, źli papieże. Aleksander VI podobno truł swoich przeciwników. Trudno sobie jednak nawet wyobrazić ohydę podobnej profanacji i to dokonanej przez władze kościelne! Silone zagalopował się w swym antyklerykalizmie, zaś recenzentka z nie byle odwagą poklepała go za to po ramieniu.

Po prostu gaffa. P. Kamieniecką wytłumaczyć można łatwo: jest tak młoda, że łatwo jej było się potknąć tam, gdzie się potknęła o wiele więcej doświadczona publicystka. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa „zamianowanych" redaktorów „Tygodnika" oraz kompetentnych władz, które „mają wgląd do redakcji i gwarancję prawidłowego wyrażania przez nią myśli katolickiej".

P. MINISTROWI WOLSKIEMU, PREZESOWI P. T. T., DO SZTAMBUCHA

P. Czesław Schabowski napisał, a Sp. Wyd. „Książka" wydała opowiadanie p.t.: „Szarotki". Treść przemiłego opowiadania jest bardzo prosta: Góralowi, Jędrkowi zachciało się „straśnie" palić. A że leżał właśnie „pod nagą ścianą" Nosala i zobaczył na niej szarotki, pomyślał sobie, że mógłby na skałę wleźć, szarotki zerwać, zanieść do Zakopanego i tu sprzedać.

Ano, dobrze nie bardzo, bo szarotek zrywać nie wolno i tego pilnuje Polskie Towarzystwo Tatrzańskie z Ministrem Wolskim w roli głównego cerbera. Tylko, że o tym zapomniał i Jędrek, i p. Schabowski, i Sp. Wyd. „Książka". To też Jędrek, który ma takie dobre oczy (fenomen!), że zobaczył już nie „kupkę gnoju" na „wysokiej turni", ale białe szarotki na ścianie Nosala, polazł po nie w górę.

Następuje mrożący krew w żyłach opis włażenia Jędrka na skałę, przy tym, raz po raz, ku przerażeniu czytelnika i zaniepokojenia Min. Wolskiego, Jędrek chce w Nosalu rąbać stopnie ciupagą. (Życzymy p. Schabowskiemu, aby także trzy stopnie sobie wyrąbał!). Wreszcie okazało się, że z Jędrkiem jak z Jankiem Wędrowniczkiem „wejść to nic, lecz zejść to sztuka". Dzielny Jędrek nic się tym nie przejął, odbił się od skały, (uwaga!) skoczył w „morze zieleni" czyli w smreki, a one łagodnie złożyły go na ziemi. Tą nową, wspaniałą metodę zejść powinniśmy zadokumentować jak najprędzej zagranicą!

Krótko mówiąc, Jędrek, zeskoczywszy z Nosala, otrzepał się, zebrał szarotki w bukiet, poszedł do Zakopanego i tu go milicja..... Nie, wcale nie! Tu znalazł panią o oczach jak gwiazdy i dziewczynkę o oczach jak gwiazdy i zamiast im sprzedać szarotki, zrobił z nich im prezent. Swój „honor" miał, jak lubi deklamować ex-naczelnik Ładosz.

Pocieszmy się, że Jędrek nie jest p. Schabowskim, bo ten by nie zobaczył szarotek na taką odległość, nie wlazłby na skałę (chyba, gdyby miał parę tygodni czasu na kucie stopni), a potem by nie skoczył w smreki. Ale co będzie jak jakiś młodociany czytelnik pouczającej opowieści p. Schabowskiego znajdzie szarotki na skałach, powiedzmy, Kościeliskiej i bez rąbania stopni i bez skakania w smreki zechce nimi handlować na ulicy w Zakopanem?

NAGRODA NOBLA

Nagroda Nobla za najlepszą pracę literacką w r. 1947 została przyznana Marii Brekker, młodej pisarce z Norwegii, za książkę pod tyt.: „Matka Maria". Książka ta opisuje codzienne życie Świętej Rodziny, odmalowane z wielką wyrazistością.

Jest to więc, nowa obok Jana Jörgensena i Sigridy Undset, pozycja w skandynawskiej literaturze katolickiej.

PRZEKŁADY Z CZESKIEGO

Zdzisław Hierowski, dokonał kilku udanych przekładów z czeskiego, a mianowicie, obok poprzednio wzmiankowanego „Turysty mimowoli" Hoffmeistra, Jana Drdy „Miasteczko na dłoni" i Edwarda Basa „Klub jedenastu". Wszystkie trzy książki wydał katowicki AWiR. Uważamy, że sprawa przyswajania nam literatury czeskiej jest sprawą niezmiernie ważną. Należałoby nie ograniczać się jednak do tłumaczenia pisarzy współczesnych, ale także sięgnąć do „klasycznej" literatury czeskiej. Zwłaszcza prosi się o nowy, lepszy niż dawniejszy przekład czeski Pickwick „Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara" Ignacego Hermana.

Kwitujemy:

Pracownicy Państwowej Wytwórni Sztucznego Włosia; Pokój — pow. Opole, na odbudowę katedry św. Jana w W-wie

2.845 zł.

Jadwiga Reiffowa na Fundusz Opieki nad grobami Powstańców

2.000 zł.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

3

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Wszystko to sierżant zaraportował komisarzowi głosem dudniącym głucho, stojąc w postawie na baczność. Gromel nie lubił takiego „drylu": policja to nie wojsko. Niedbale kiwnął głową i podziękował sierżantowi w sposób arcy-cywilny, co znowuż, wiedział to, drażniło tamtego. Trudno — nie dobrali się; szkoda, że Kalk jeszcze chory — to był policjant z powołania, artysta — tak jak i Gromel. Komisarz rzucił okiem na mieszkanie, wiedział, że policja napewno nic tu nie znalazła — zapewnienie Windala było równe gwarancji. A jednak: szuflada biurka jest zamknięta, książek, wyjętych wczoraj z biblioteki już na stole nie ma, sama biblioteka również zamknięta. Ci, co unieśli zwłoki, nie omieszkali uporządkować pokoju; telefon leżał na widełkach, może położył go jeszcze doktór Alen, chcąc dzwonić do Wydziału. Chociaż nie: jeśli tajemnicza nieznajoma była w zmowie — rzecz chyba niewątpliwa — napewno rozłączyła się zaraz po odejściu komisarza od aparatu, reszty zaś dokonali napastnicy, odkładając słuchawkę na widełki, aby nie można było stwierdzić, skąd dzwoniono. Słowem — ślady w mieszkaniu zostały zatarte — tylko plama krwi na dywaniku przed łóżkiem świadczyła o wypadkach, które się tu rozegrały.

Komisarz wyszedł na schody. Kamienne, niezbyt czyste, na każdym piętrze okno na podwórze, z boku nisza o mało określonym przeznaczeniu. W takiej niszy na parterze złożono ogłuszonego i zatrutego chloroformem sierżanta Kalka.

Gromel stanął w oknie i patrzył na posępne, ciemnawe podwórze. Deszcz przestał padać, lecz wiatr huczał i wył coraz silniejszy — gdzieś na górze miotał otwartym oknem, które jęczało złowróżbnie. Komisarz poczuł nagle znany mu dobrze ostrzegawczy dreszcz. Niebezpieczeństwo nie zniknęło, było gdzieś blisko, gdzieś w tym domu. — Nonsens — dom obstawiony policją, jak forteca — zreflektował się. A jednak nie — instynkt nie mylił go nigdy. Przez chwilę wsłuchiwał się w swój głos wewnętrzny: głos ostrzegał lecz nie chciał powiedzieć nic więcej, nic bliższego. Komisarz opanował irracjonalny lęk i nagle poczuł przypływ energii, jak zawsze w momentach niebezpieczeństwa niewyjaśnionego, niesprecyzowanego. Jeśli coś czai się jeszcze w tym ponurym domu — trzeba przeszukać dom. Normalne, klasyczne śledztwo: najpierw dozorczyni, kot, strych, potem staruszki na drugi piętrze, wreszcie mieszkania na tamtej, w podwórzu położonej klatce schodowej. Komisarz zaczął schodzić po schodach: na parterze, przy wejściu z bramy, czuwało dwóch policjantów. — Nikogo nie wpuszczać na schody, aż wrócę — zarządził.

III.

Kot był wspaniały, puszysty, szaro - biały, ogromny perski, czy angorski, licho go wie — w każdym razie nie zwykły. Spoczywał godnie na kolanach dozorczyni, która głaskała go machinalnie, nieco nerwowo, po raz dziesiąty odpowiadając na to samo pytanie komisarza.

— Więc wczoraj między dziesiątą a pierwszą cały czas była pani tutaj?

— Tak, cały czas.

— I wykluczone jest, żeby ktoś mógł wyjść z domu nie zauważony przez panią? — tu komisarz obrzucił okiem podłużne, na wysokości oczu osoby siedzącej położone okienko, przez które widać było przeciwległą ścianę bramy i wejście do klatki schodowej profesora Galarda. Przy wejściu stał teraz policjant, ziewając szeroko.

— To niemożliwe — musiałabym każdego zobaczyć.

— Hm. A nie widziała pani nikogo podejrzanego?

— Nie. Wychodzili tylko lokatorzy domu.

— Z tego pani wyprowadziła wniosek, że...

— Że profesor nie żył już przed dziesiątą.

— Sądzi pani, że kot przebywał na strychu parę godzin?

— Tak, był już bardzo zakurzony.

— A czy nie mógł zakurzyć się momentalnie? Czy jest tam dużo kurzu?

— Nie, kurzu na strychu jest bardzo niewiele. Żeby się tak pobrudzić, trzeba wycierać się tam dłuższy czas.

— Dlaczego więc zaczął miauczeć dopiero po paru godzinach?

Dozorczyni za całą odpowiedź wzruszyła ramionami, i nerwowo zacisnęła wargi, jakby dając do zrozumienia, że nie odpowiada za postępki kota. Była to kobieta lat chyba ze czterdziestu, o bardzo czarnych, bez śladu siwizny włosach i również czarnych, błyszczących oczach. Miała wydatne kości policzkowe, w ogóle typ wybitnie południowy. Wydawałaby się jeszcze wcale przystojna, gdyby nie ostry, nieżyczliwy wyraz twarzy i pełne goryczy fałdy koło ust. Odpowiadała głosem niskim, opanowanym, ale znamionującym wewnętrzne zaniecierpliwienie.

— Od wczoraj nie wycierała pani kurzu na strychu? — pytał dalej komisarz.

— Nie.

— A czy nie jest możliwe, że napastnicy wyszli z mieszkania profesora w chwili, gdy pani, zaalarmowana przez kota udała się na strych?

— To zupełnie niemożliwe — w bramie było już wtedy parę osób: mleczarka, zegarmistrz — zaraz też przyszedł mój mąż.

— Wczoraj przy pierwszym przesłuchaniu widziałem, że pani płakała. Czy bardzo pani lubiła profesora. Galarda? zz

Dozorczyni drgnęła i po raz pierwszy podniosła przysłonięte dotąd powiekami oczy — spojrzenie jej spotkało się z przenikliwym wzrokiem komisarza. Przez króciutką chwilę widział dziwny, jakby obłędny wyraz tych oczu — lecz zaraz spuściła powieki.

—Profesora prawie nie znałam — powiedziała oschle — tyle, co dwa razy na tydzień sprzątałam mu pokój. — A chyba trudno się nie zdenerwować, jak się widzi takie wypadki. — Może dla pana ta chleb codzienny — dla mnie nie.

— Inteligentna kobieta — pomyślał komisarz. Czuł, że dozorczyni coś przed nim ukrywa. Jej opanowana oschłość była maską, pod którą można było domyśleć się ogromnego rozdrażnienia. Komisarz wiedział, że drżała wewnętrznie.

— Gdy profesor Galard bawił za granicą, opiekowała się pani jego kotem? — rozpoczął znowu.

— Tak, kot był u nas.

— A gdzie jest w tej chwili pani mąż?

— Na poczcie.

— W niedzielę?

— Tak, ma nocny dyżur.

— Jak wyglądali ludzie, którzy wynieśli zwłoki?

— Wysocy w białych fartuchach i białych maskach.

— Czy widziała pani auto, którym przyjechali?

— Nie — nie interesowałam się tym — myślałam, że to sprawa policji.

— Czy profesor Galard miewał kochanki? Jeśli komisarz spodziewał się, że to nieoczekiwane pytanie wywoła w twarzy dozorczyni jakąś wyraźną reakcję — przeliczył się całkiem. Kobieta odpowiedziała bardzo spokojnie, bez najmniejszego drgnienia:

— Nie wiem. To nie moja sprawa.

Komisarz Gromel zapatrzył się w okienko, gdzie znów widać było przechadzającego się przed wejściem na schody znudzonego policjanta. Prócz niego dwóch było jeszcze w bramie, jeden na podwórzu, jeden na schodach, a dwóch z sierżantem Widalem w mieszkaniu profesora. Ubezpieczenie całkowite — jakakolwiek nowa zbrodnia niemożliwa — pomyślał bez związku komisarz. Jednocześnie poczuł dziwne ściśnięcie serca; znowu przeniósł wzrok na dozorczynię i nagle schwycił go nerwowy gniew. **Ta kobieta coś wiedziała.** Komisarz żałował czasem, że zarzucone zostały, jako metoda śledztwa, tortury — baba wyśpiewałaby odrazu wszystko i możnaby ruszyć dalej, zamiast marnować tutaj cenny czas. Tymczasem, nie wiedząca nic o barbarzyńskich zamysłach komisarza dozorczyni siedziała nieruchoma w żółtawym świetle słabej lampki, wiszącej u sufitu. Pokoik był mały, ale czysty i starannie utrzymany. Kot mruczał, zasypiając powoli, opuszczone rzęsy dozorczyni wraz z ciemnymi plamami pod jej oczyma stwarzały złudzenie jakby trupich oczodołów. Komisarz wzdrygnął się wewnętrznie i z trudem opanował zniecierpliwienie.

— Jak długo pani jest w tym domu? — spytał.

— Trzy lata — odpowiedziała cicho jak echo.

— A skąd pani pochodzi?

Po raz pierwszy dozorczyni zawahała się. Po chwili niezdecydowania i namysłu nie podnosząc oczu wyszeptała prawie:

— Z X...

Było to małe miasteczko na dość odległej prowincji. Komisarz nie znał tamtych stron. Znowu zamilkli na chwilę — chwilę tę wypełniło wsłuchiwanie się w intensywny, długo potężniejący jęk wiatru w podwórzu. Crescendo wichru zakończyło się gwałtownie targnięciem, aż nawet tu, w bramie, zadrżało okienko, jakby wydzierane z ram. — Trzeba kończyć — postanowił w myśli komisarz. — Narazie nic mi więcej nie powie.

— Jak się nazywają te staruszki na górze? — spytał rzeczowo.

— Panny Blankard.

— Czy są teraz w domu?

— Tak, one nigdy nie wychodzą.

Komisarz powstał wreszcie z krzesła, skłonił się lekko, na co dozorczyni odpowiedziała poważnym skinieniem głowy. W bramie było już niemal ciemno — na schodach paliły się słabe lampy elektryczne — wielkie, żółte ample. Policjanci w bramie czuwali na swych miejscach, wzdrygając się czasem od wiatru, docierającego aż tutaj. Znowu zaczął padać deszcz — dzwonił o rynny i blaszane dachy, tępo chlapał o bruk podwórza. Komisarz ruszył ciężko po schodach na drugie piętro.

Panny Blankard okazały się przemiłymi, bardzo kulturalnymi starymi pannami. Emerytowane nauczycielki, żyjące w świecie książek i wspomnień w maleńkim, zastawionym pamiątkami mieszkanku. Niestety — obie chore na artretyzm nie ruszały się prawie z domu i o zbrodni oraz o wszystkim co zaszło dowiedziały się dopiero dziś rano od mleczarki. — Nieszczęśliwy człwiek ten profesor Galard — a przecież taki wybitny uczony — i przy tym całkiem młody — mówiły na przemiany do komisarza, trzęsąc z zabawnym nieco zatroskaniem siwymi głowami. — Jakie się straszne dzieją rzeczy panie komisarzu! Mój Boże, mój Boże! Komisarz rozrzewniony i ubawiony potrochu — choć humor nie był tu wcale na miejscu — posiedział chwilę gawędząc raczej niż przesłuchując, bowiem staruszki dosłownie nic nie wiedziały. Obezwładniony trochę ciepłem pokoju Gromel spoczywał leniwie w wygodnym fotelu. Gdy zaproponowano mu herbatę odmówił i zaraz podniósł się ciężko. Uświadomił sobie, że od wczoraj wieczór nie miał nic w ustach, że jest osłabiony, że szum w uszach i w głowie dokucza mu bardzo, że ma wyraźne głodowe mdłości. — Trzeba by się czegoś napić — pomyślał machinalnie — myśl ta skojarzyła mu się z zapamiętanym widokiem niedalekiej narożnej restauracji, jaką spostrzegł idąc tu. Ucałował ręce staruszek, przepraszając za naruszenie pokoju i wyszedł na schody, zatrzyskując za sobą drzwi.

Natychmiast zetknął się twarzą w twarz ze schodzącą z góry dozorczynią. Nie spojrzał na nią nawet, omijając ją wzrokiem: **nie należało** patrzeć. Bowiem dozorczyni miała w jednym ręku szufelkę, w drugim szczotkę i ściereczkę od kurzu. Niewątpliwie *wycierała* **kurz na strychu.**

Gromel schodził w dół poświstując przez zęby z wrażenia. Coś w nim śpiewało radośnie: trop, trop, trop — był na tropie! Wycierała pokłady kurzu, bo zależało jej na wersji, że kot siedział tam parę godzin, że morderstwo popełniono przed dziesiątą. Dlaczego zależało jej na tym? Bo w przeciwnym wypadku musiałaby widzieć wychodzących morderców. Widziała ich na pewno — lecz nie chciała o tym powiedzieć. Dlaczego? Bo była z nimi w zmowie!

Poszlaków miał oczywiście za mało jeszcze na to, żeby ją aresztować, lecz aż nadto, żeby podejrzewać i — obserwować. Trzeba zdobyć dowody, namacalne dowody. Gromel zatrzymał się przed drzwiami mieszkania Galarda i rzucił ukosem spojrzenie poza siebie. Dozorczyni schodziła bezszelestnie; w słabym, mdłym świetle żółtych ampli, które oświetlały tu klatkę schodową, widział wyraźnie tylko bladą plamę twarzy i ciemne oczy — wpatrzone w niego.

Poczekał, aż minęła go schodząc w dół i w umówiony sposób zastukał do drzwi. Otworzył mu natychmiast sierżant Widal, prężąc się w służbowym ukłonie. Komisarz skinął niedbale ręką.

— Idę coś zjeść, sierżancie — powiedział. — Wrócę za pół godziny — pilnujcie dobrze.

— Tak jest, panie komisarzu!

Gromel zeszedł do bramy i nakazał dwum policjantom, pilnującym wejścia z bramy do klatki schodowej, aby dyskretnie obserwowali ruchy i zachowanie dozorczyni. Pokoik jej był, jak się rzekło, w bramie, po drugiej stronie wejścia na schody, pomiędzy tym wejściem a wyjściem na ulicę. W podłużnym okienku żółciło się niewyraźne światło. Komisarz rzucił na nie okiem i, postawiwszy kołnierz, wyszedł na świat Boży.

Ledwo znalazł się na ulicy, wiatr niemal zakręcił nim wkoło. Przeklęta wichura! Komisarz mocował się z nią straciwszy na chwilę poczucie kierunku — wiało w oczy gdziekolwiek było się zwrócić, w dodatku wielkie bryzgi miotanej przez wiatr wody deszczowej oślepiały go niemal, zaś kapelusz wykazywał uporczywe tendencje do opuszczenia głowy i pofrunięcia w świat. Po chwili szamotania się komisarz odzyskał wreszcie jakie takie panowanie nad swoją osobą i ruszył wzdłuż ciemnej, jęczącej i skrzypiącej wstrząsanymi wciąż ramami okiennymi ulicy. Bezludność tu panowała absolutna, okna domów pozasłaniane i w ogóle ciemne — ten zakątek stolicy toż to istna pustynia.

[illegible] był niedaleko; umieścił się, jak to zwykle bary, na rogu jakiejś ciemnej, przypominającej wilczą gardziel uliczki. Mdły blask latarni oświetlał skrzyżowanie — woda ściekała z pluskiem z niedalekiej rynny, oszklone, zasłonięte bibułką drzwi restauracji także rzucały niepewny, zielonawy refleks światła na płyty chodnika.

Komisarz energicznie nacisnął klamkę i wszedł. Salka słabo oświetlona, kaflowa podłoga, wielki kontuar, półki z butelkami, piwo z beczki. Za kontuarem drobny, czarny człowiek, na pewno gospodarz, na sali parę stolików, w głębi widoczne drzwi do drugiej, jeszcze gorzej oświetlonej salki, gdzie królował wiekowy stół do bilardu.

Komisarz zamówił duży koniak i porcję gularzu, po czym usiadł przy jednym ze stolików, czekając, aż człowiek zza kontuaru, zarazem widocznie gospodarz i kelner przyniesie mu owe przysmaki. Tymczasem rozglądał się po sali. Przy sąsiednim stoliku siedziało trzech podchmielonych mężczyzn, pod ścianą nad kuflem piwa sterczał jeden samotny gość. Komisarz od chwili wejścia czuł, że go ktoś obserwuje — obecnie zdał sobie sprawę: to właśnie ów samotny jegomość nie spuszczał go z oka. Był to niewielki człowieczek z potężną, łysą głową, w niemniej ogromnych okularach; oczy miał zezujące w różne strony, tak, że trudno było się zorientować, w które właściwie miejsce patrzy — niepewność tę powiększała jeszcze złotawo błyskająca oprawa szkieł — w sumie od jego oczu szedł jakiś niepokojący, fałszywy fluid: zdawało się, że nieznajomy patrzy naraz w wielu kierunkach, ogarniając wzrokiem całą salę — a może naprawdę nie patrzył w żaden określony punkt? Jednak nie — komisarz czuł, że tamten go obserwuje, że się nim interesuje — trochę go to zirytowało i skolei sam wpił w małego surowy wzrok, chcąc go niejako odpędzić. Na ustach człowieka błąkał się jakiś krzywy, nieokreślony ale niemiły, drwiąco bezczelny uśmieszek, chociaż może i to było złudzenie, może i ten uśmieszek skierowany był do wewnątrz? Tak czy owak pełne irytacji spojrzenie komisarza nic nie wskórało: łysy człowieczek ani na jotę nie zmienił wyrazu twarzy i dalej błyskał ku komisarzowi oczyma — może zresztą patrzył zgoła gdzieindziej? — w każdym razie wiedział, że komisarz się w niego wpatruje, a komisarz ze swej strony wiedział, że tamten o tym wie.

Ów niezbyt zrozumiały i sensowny pojedynek spojrzeń czy fluidów przerwał gospodarz, przynosząc koniak i gularz. Komisarz Gromel poniechał przeciwnika i zajął się swoją doczesną powłoką. Z rozkoszą łyknął koniak — na taką pogodę nie ma nic lepszego. Kiedyś, we wczesnej młodości, komisarz Gromel bardzo lubił mocne trunki; później porzucił ten rodzaj podniety, przedkładając ponad niego szlachetną emocję, jaką dawała mu służba w policji śledczej. W dalszym ciągu jednak uważał, że kieliszek wypity w odpowiednim momencie, to rzecz nieoceniona. Dziś, naczczo, po wczorajszym ogłuszeniu i zatruciu, w taką wstrętną pogodę i w tej nieżyczliwej dzielnicy, podwójny koniak zagryziony ostrym gularzem stał się ciepłym kominkiem, zainstalowanym w mrocznej dotąd, choć ostatnio nieco ożywionej psychice komisarza.

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

Pozycje kluczowe

W Nr. Nr. 34 i 37 naszego tygodnika podaliśmy w streszczeniu Cześć I Wydawnictwa „Economie et Humanisme", dotyczącą założeń ideologicznych systemu społeczno - gospodarczego. Obecnie przechodzimy do Części II tej pracy, zatytułowanej „Rewolucje ekonomiczno - socjalne", która dotyczy samego systemu.

Na pierwszym miejscu omawia się zagadnienia techniki i racjonalizacji oraz sprawiedliwego rozdziału wyników pracy.

Postęp techniczny i racjonalizacja działalności ludzkiej są same w sobie rzeczą dobrą i jak najbardziej pożądaną. Powodem zaś, dla którego ludzie są obecnie pod względem materialnym nieszczęśliwi, jest wypaczanie istotnego celu postępu technicznego i racjonalizacji, który polega na stworzeniu jak najdogodniejszych warunków bytu dla całej ludzkości. Dlatego też szczególnie ważnym jest, aby nowoczesny człowiek był w stanie opanować i zużytkować kolektyw nie wyzwolone dzięki nauce i technice siły.

Dążyć należy do jak najdalej idącego zastępowania przestarzałych metod w produkcji, nowoczesnymi metodami techniki. Ponieważ te ostatnie nie mogą być właściwie wyzyskane w użytkowaniu przez jedną osobę winny być używane drogą asocjacji w łonie instytucji opartych na zasadzie wspólnoty. Równocześnie podkreślić trzeba, że postęp nie polega na nieograniczonej co do swych rozmiarów koncentracji. Przedsiębiorstwa - giganty, sprowadzające robotnika do roli robota, miast prowadzić do postępu, są mu przeciwne.

Podział owoców pracy Praca jest emanacją osobowości ludzkiej. Rezultaty pracy należą w pierwszym rzędzie do jej wykonawców. Z uwag. jednak na to, że wyniki pracy są możliwe jedynie dzięki interwencji innych członków, wyłaniają się trzy zasadnicze problemy: (1) problem wynagrodzenia, t.j. rozdziału tej siły kupna, która została uzyskana dzięki zamianie owoców pracy, (2) problem opodatkowania, (3) problem solidarności wspólnoty, t.j. problem pomocy niepracującym.

ad (1). Po potrąceniu podatków i ciężarów socjalnych cały wynik pracy winien należeć solidarnie do jej wykonawców oraz do współtowarzyszy i być rozdzielanym według funkcji udziału każdego wykonawcy we wspólnej realizacji. Jednakże zróżnicowana skala wynagrodzeń jest sprawiedliwa, (bo praca jednych robotników jest bardziej wydajną niż innych), i pożądaną, gdyż, wywołując emulację, stanowi jeden z faktorów postępu.

System pracy najemnej jako podstawa udziału w owocach pracy, nie może być uznany za całkowicie potępiony w niektórych wypadkach, które, obiektywnie stwierdzając, rzadko kiedy były realizowane od czasu istnienia kapitalizmu. Znacznie lepszą i wyższą formą od systemu płacy najemnej jest asocjacja zwykła lub asocjacja, prowadząca do powstawania społeczności. Niedopuszcza ona do tak daleko idącego wzajemnego wyzysku ludzi, zobowiązuje robotnika do wzięcia na siebie części odpowiedzialności, tępi izolacjonizm i egoizm oraz doprowadza do powstania między partycypującymi w pracy prawdziwie ludzkich stosunków.

W systemie pracy najemnej płaca winna w normalnych warunkach ekonomicznych wystarczać do utrzymania robotnika na godnym poziomie życia. W okresach „prosperity" płaca winna również obejmować pewną „nadwartość", proporcjonalną do ogólnego wzbogacenia. (Robotnicy najemni powinni byli partycypować w ogólnym wzbogaceniu, które miało miejsce na przestrzeni minionego stulecia). Robotnicy stają się proletariatem, o ile wspomniana wyżej „nadwartość" nie zostaje im przyznana. Brak im bowiem rezerwy, potrzebnej na przetrzymanie wstrząsów ekonomicznych. Nie będąc udziałowcami, by móc partycypować w rozdziale nadwartości, a nie mogąc brać udziału w ryzyku — zdani są oni na ciągłą niepewność i nie mają nigdy szans, by wyjść z najemnictwa.

Stwierdza się, że wysokość płacy nie powinna być ustalana przez Państwo. Skala płac nie może być bowiem sztywną i arbitralną. Wyznaczanie płac przez Państwo przerywa normalny cykl stosunków ludzkich i jest czynnikiem, który prowadzi do zapoznawania konieczności poszanowania partykularymów lokalnych i zawodowych. Dlatego też umowa o wysokość wynagrodzenia winna być wolną i spontaniczną. Z uwagi jednak na to, że w większości wypadków umowa ta nie jest w dobie obecnej dobrowolnie zawierana, potrzebne jest opracowanie takich zasad, które będąc podstawą asocjacji i wynagrodzenia, prowadziłyby do bliższej współpracy wszystkich pracowników nad zapewnieniem właściwego minimum bezpieczeństwa socjalnego.

ad (2). Podatki są częścią owoców pracy, które pozwalają społeczności pokryć koszty, związane z tworzeniem dobra wspólnego. Opodatkowanie jest tylko wtedy uzasadnione, gdy rozkłada słusznie ciężary na wszystkich obywateli oraz, gdy służy efektywnie dobru wspólnemu.

Nowoczesne państwo podejmuje się często wielu czynności, które z natury swojej należeć winny do instytucyj mu podporządkowanych. Powoduje to ociężałość działania aparatu państwowego, nadmierne opodatkowanie i jego złe zużytkowanie. Zwrócić też należy uwagę, że w wypadku powierzania losów dobra wspólnego kierownikom planu narodowego, obywatele oczekują wszystkiego od państwa, a społeczności zatracają swą przedsiębiorczość.

W większości wypadków opodatkowanie dotyczy owoców pracy. Podatek nie powinien naruszać minimum egzystencji pracownika i jego rodziny oraz utrudniać zakładanie nowych rodzin. Sprawiedliwa polityka podatkowa pozwala władzy publicznej skierowywać ludzi ku działalnościom najbardziej użytecznym dla społeczności.

Progresywność podatków jest rzeczą słuszną i winna być nadal stosowana z tym zastrzeżeniem, że nie powinna hamować inicjatywy prywatnych przedsiębiorstw.

Należy dążyć do redukowania podatków pieniężnych i zastępowania ich w miarę możliwości opodatkowaniem w formie świadczeń. Wreszcie wypowiedzieć się należy przeciwko mnożeniu tytułów podatkowych, gdyż zbyt daleko idące ich zróżnicowanie stanowi poważne niebezpieczeństwo dla państwa.

ad (3). Z chwilą, gdy płaca jest niewystarczającą, dzieci, chorzy, bezrobotni i starzy znajdują się bez środków do życia. Celem niedopuszczania do takiego stanu rzeczy, instytucje ubezpieczeniowe oraz instytucje udzielające pomocy charytatywnej dzięki automatycznemu opodatkowaniu wszystkich zarobków, przerzucają ciężar utrzymania osób niezdolnych do pracy na ogół pracujących. Cechą charakterystyczną tych instytucyj jest pierwiastek społecznościowy a nie pierwiastek indywidualny. Zabezpieczanie bytu ludzi winno być dokonywane przez wyżej wymienione instytucje, które miałyby charakter lokalny a nie ogólnopaństwowy.

Zwrócić też należy uwagę, że obecnie istniejące zróżnicowanie charakteru i zakresu działania instytucji pomocy i ubezpieczeń winno być w przyszłości zastąpione przez jednolity system solidarności funkcjonalnej, polegającej na tym, że każdy kto dostarczy pożytecznego wysiłku, będzie miał prawo do wszystkich dóbr podstawowych, które są konieczne w danej cywilizacji do zachowania godności człowieka nawet w wypadku starości lub ułomności, że każde dziecko, korzystając z dobrodziejstw wspólnoty, będzie zobowiązane dostarczyć w przyszłości użytecznego wysiłku, że ktokolwiek, kto odmawiałby ponoszenia takich wysiłków, będzie pozbawiony praw (roszczeń) do otrzymywania dóbr podstawowych.

Wyżej przedstawiony system, który nie byłby oparty na kapitalizacji, ale na każdoczesnej solidarności wszystkich członków organizmu socjalnego, byłby znacznie prostszy i bardziej logiczny od dotychczasowego tak skomplikowanego systemu ubezpieczeń, pomocy i akcji charytatywnej. Raz na zawsze winna być przyjęta zasada, że samorząd terytorialny, wspomagany przez organizacje rzędu wyższego, wynagradzać będzie funkcje socjalne lub dokonaną poprzednio pracę tych wszystkich, którzy muszą być dzisiaj nieproduktywni. Za wszelką jednak cenę trzeba unikać tego, aby pod pretekstem solidarności i wzajemnej pomocy nie prowadzić do faworyzowania lenistwa i do zmniejszenia produktywności. Złe jest bowiem ustawodawstwo socjalne, które zmniejsza produktywność oraz zwiększa ilość jednostek bezwartościowych. **(K)**

d. c. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Redaktor polityczny „Słowa Powszechnego" Jan Meysztowicz, w tygodniku „Dziś i Jutro", nr. 32, w rubryce „czytelnik uważa, że..." zabrał głos na temat omawianej obecnie w prasie książki A. Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce". W uwagach swych o książce Bocheńskiego jak zwykle nie omieszkał poruszyć swego pobytu na emigracji i sprzecznych poglądów, jakie dzieliły go wówczas od głównego ośrodka dyspozycyjnego naszej emigracji. Redaktor Meysztowicz nie może się powstrzymać również, by nie poruszyć sprawy powstania warszawskiego, sprawy jednakowo klepanej obecnie w ogniu dyskusji realistów dzisiejszych. Między innymi pisze: „twierdzę, że za powstanie warszawskie i manowce góry A.K. odpowiadają w dużej mierze polscy historycy". Pogląd ten, moim zdaniem, jest bezwzględnie błędny i szkodliwy.

Mamy dziś więcej krytyków powstania, niż żołnierzy, walczących wówczas w tym powstaniu. Mamy ich dlatego tak dużo, że powstanie nie udało się. Czy dowództwo powstania, „góra A. K.", dało rozkaz do powstania, mając przed powzięciem tej decyzji głębokie przekonanie o niepowodzeniu tej akcji? Czy temu dowództwu nie miał nic do powiedzenia Delegat rządu i rząd w Londynie, któremu A. K. podlegała? I wreszcie, któżby śmiał i miałby sumienie podejmować daną akcję jedynie dlatego, ażeby zniszczyć kwiat młodzieży naszej, ludność stolicy i bezcenne dobra materialne? O taką zbrodnię nie można posądzać nawet „góry A. K.", na którą obecnie padł wyrok potępienia. Natomiast, jeśli weźmiemy pod uwagę, popłoch wśród niemieckich oddziałów na tym odcinku frontu w ostatnich dniach lipca, nastroje i postawę społeczeństwa stolicy wobec zarządzeń okupacyjnych wroga, to nie omieszkamy przyznać, że decyzja podjęcia walki w stolicy była słuszna i jedyna.

Redaktor Meysztowicz, jak i szereg innych krytyków powstania, nigdy nie zrozumie tamtych dni, jak nie rozumie dziś większość społeczeństwa naszego w kraju. Bowiem dzieli nas przestrzeń kilku lat. Każdy kto przybywa do kraju z Londynu po kilku latach nieobecności w kraju jest mądry jak Salomon. Zarzuca nam brak realizmu politycznego, giętkości i zdolności do kompromisu, jakie cechowały np. Czechosłowację. Postawa Czechów w czasie wojny wobec okupanta jest dla nas dziś bardzo modna jako wzór do naśladowania. Wątpię jednak czy znalazłoby się dużo Polaków, którzyby zamienili się rolami i przyjęli czeskie obywatelstwo. W przeszłości i obecnie. Ja osobiście wolę gruzy naszej bohaterskiej stolicy, odbudowującej się z takim trudem, i bohaterskie dzieje walki naszej A.K.

Naród, który tak kocha wolność, niepodległość i suwerenność nigdy nie zniknie z mapy świata. Każdy inny naród, myślący realistycznie w naszych warunkach zniknąłby z powierzchni ziemi.

Łączę wyrazy szacunku

Wir

DO REDAKTORA „DZIŚ I JUTRO"

Przed kilku miesiącami złożyłem w Redakcji „Dziś i Jutro" swój wiersz p.t.: „Piosenka dla Ity". Ponieważ druk ulegał znacznej zwłoce, zwróciłem się do jednego z członków zespołu redakcyjnego o wycofanie utworu. Po uzyskaniu od niego zapewnienia, że wiersz został wycofany, uznałem się za uprawnionego do swobodnego nim dysponowania i oddałem go redakcji „Świata Młodych".

Ale przez posły wilk nie syty. Wiersz mój znalazłem w jednym i tym samym dniu w 39 (96) n-rze „Dziś i Jutro" i 31 n-rze „Świata Młodych". Ten zupełnie osobliwy zbieg okoliczności i... niedokładności stawia mnie w przykrym i fałszywym świetle. Rzecz prosta, nie ma w tym najmniejszej winy Pana Redaktora, ale nie ma też i mojej. Deklaruję, że do jakiegokolwiek honorarium od „Dziś i Jutro" nie służy mi prawo, gdyż zamieszczenie wiersza było wynikiem niewątpliwego nieporozumienia.

Uprzejmie proszę Pana Redaktora o wydrukowanie tego wyjaśnienia.

Z poważaniem

Jerzy Ficowski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Redaktor działu „Camera Obscura" w „Odrodzeniu" (nr. 34), podaje do wyśmiania następujące zdanie: „Chło pi... skarmiali świńmi ziarno zbóż chlebowych". Według niego ma to znaczyć, że „pszenicę raczono schabem... żyto zaś kotletem wieprzowym". Pyszne! wspaniałe! cała redakcja pęka od śmiechu! taki dowcip! Istotnie byłby to dowcipasek (o gatunku nie ma co mówić!), gdyby w tekście wyśmianym było: „k a r m i l i świńmi ziarno"... Ale tu stoi jak wół: skarmiali. Otóż skarmiać jakąś paszę jakimś bydłem (owies końmi, czy makuchy krowami) jest powszechnym, dawnym, wszędzie przyjętym zwrotem języka rolników w Polsce, na oznaczenie zużycia na pokarm danych zwierząt domowych danego ziemiopłodu. Wyrażenie to jest nieobce ogółowi Polaków z wyjątkiem tych, którzy za rogatki Warszawy czy Krakowa nie wychylali nosa.

W kulturalnym tygodniu, np. przed wojną w „Wiadomościach Literackich", taką poprawkę błędu „camerzysty" posłałoby się do tejże „Camery" do wyśmiania, z pewnością, że poprawka z całą skwapliwością zostanie umieszczona. Dziś w piśmie, które nie umieszcza odpowiedzi zaatakowanych na jego łamach literatów — próba taka byłaby beznadziejna.

Z. W.

Nadesłano

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

Jerzy Żuławski — STARA ZIEMIA, 280 str., 1947 r.

Stanisław Maria Saliński—OPOWIEŚCI MORSKIE, przedmową opatrzył **K. Wyka**, str. 186, 1947 r.

E. Szuster — PŁONĄCY KRZAK, str. 198, 1947 r.

Fr. Trąbalski, Roman Motyka — PÓŁ WIEKU SOCJALIZMU POLSKIEGO NA ŚLĄSKU. str. 62, 1947 r.

Aragon — DZWONY BAZYLEI, przełożył **Wacław Rogowicz**, str. 342, 1947 r.

Jalu Kurek — GRYPA SZALEJE W NAPRAWIE, powieść, wydanie szóste, str. 225, 1947 r.

Henryk Jabłoński — U ŹRÓDEŁ TERAŹNIEJSZOŚCI, str. 157, 1947 r.

Robert L. Stevenson — WYSPA SKARBÓW, str. 296, 1947 r.

WYDAWNICTWO „PANTEONU"

Aleksander Rymkiewicz — Z NARODEM, poezje, r. 1947, str. 128.

WYDAWN. LITERATURA POLSKA, KATOWICE

Tadeusz Dołęga-Mostowicz — KARIERA NIKODEMA DYZMY, powieść, str. 338.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piasecki.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-38935